№ 15. Warszawa, dnia 2 (14) Kwietnia 1892 r. Rok XXVIII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Doczekalismy się świąt, miła czytelniczko i kochany czytelniku; maluczko, a kościelne dzwony rozniosą po całym chrześcijańskim świecie hasło Zmartwychwstania Pańskiego i zawtórują wspaniałej pieśni: *Resurrexit sicut dixit, Alelluja!*..

Tylokrotnie już na tem miejscu miałem zaszczyt przemawiać do was w przededniu takich chwil uroczystych, że musiałbym powtarzać własne myśli, które się jednako nasuwają do głowy i do serca, a które w każdej wrażliwszej duszy ludzkiej zbudzić się muszą same.

Jest bardzo głęboki effekt psychologiczny w tym kontraście, jaki kościół wytworzył w ostatnich zwłaszcza dniach Wielkiego Tygodnia z następującą po nich Niedzielą Wielkanocną; krańcowe ostateczności zetknęły się tutaj z sobą, uczucia gorzkich żalów, smutku i przygnębienia, ponura groza śmierci i grobu, ostatni akt męczeństwa, epilog wstrząsającej tragedyi i przejście w najwyższy zachwyt, największą radość, najgłośniejsze wesele, jakie ze zmartwychpowstałym Chrystusem rozbrzmiewa zwycięztwem nieśmiertelnego ducha nad materyą, nad śmiercią i mocami piekielnemi, które go nie przemogły.

Trudno o większy, głębiej sięgający w serca kontrast, nad to zestawienie ostateczności tak krańcowych, które zdają się nie mieć żadnego już z sobą punktu zetknięcia, jakby nie schodziły się nigdzie i nie leżały w granicach możliwości.

Na tym jednak największym cudzie Chrystusowym oparła się, jak na opoce, wiara i nadzieja milionów, dla których grób przestał odtąd być bezdenną przepaścią, beznadziejną otchłanią wiecznej nicości, ostatecznym tryumfem śmierci nad wszystkiemi jej ofiarami.

I ztąd ta radość po największym smutku, te światła i blaski po ciemnościach nocy, te pieśni weselne po ponurej ciszy grobu, ta chorągiew powiewająca w ręku Chrystusa — tryumfatora po śmiertelnym całunie, w jaki Go, zdjętego z krzyża, obleczono.

Dla zwykłego prostaczka, zarówno jak dla filozofa, ileż tu materyału do rozmyślań, do reflexyi, do podniesienia ducha i wzmocnienia słabego serca!..

Kto wszelako w świętach wielkanocnych widzi tylko „święcone“, dla kogo od owego symbolicznego baranka z chorągiewką wymowniejszym jest pieczone prosię na półmisku z chrzanem w zębach, komu ani jedna poważniejsza myśl nie przejdzie przez głowę przy odgłosie rezurrekcyjnych dzwonów w Sobotę wieczorem, temu zamiast wszystkiego trzeba życzyć tylko: smacznego apetytu i zdrowego żołądka na święta.

Zdaje się, że tegoroczna wiosna najpiękniejsze wyprawi nam święcone i nie zepsuje uciechy tłumom, które w roku zeszłym drżały od zimna pod pochmurnem niebem i w roztajałym śniegu brodzić musiały po alejach i placu ujazdowskim.

Jakoś się na taką złośliwą psotę nie zanosi.

Wkrótce bzy już zakwitną, murawa się zazieleni, pąki na drzewach się rozwiną, i kto wie, czy z pierwszym dniem Wielkanocy i odrodzenia się całej natury obchodzić nie będziemy?

Ludek warszawski w tym roku po zwyczajne swoje zabawy będzie musiał iść trochę dalej, niż na Ujazdów, bo aż na pola mokotowskie, gdzie wyznaczono miejsca na panoramy, menażerye, karuzele, tradycyjny słup i baraki z piwem.

Byle pogoda dopisała, to fraszka; nowe miejsce tem bardziej zaciekawi i ściągnie tłumy, żądne rozrywki taniej, muzyki hałaśliwej, effektów jaskrawych i wrażeń niewybrednych.

Byle pogoda dopisała, będziemy mogli rozpocząć wycieczki tramwajem do Czerniakowa i Wilanowa, dokąd pan inżenier Huss dociągnął już tor kolejowy, a po którym nowe, lekkie i eleganckie wagony wozić będą Warszawiaków spragnionych świeżego powietrza po 20 kop. od osoby.

Przedsiębiorstwo udziałowe powstało przed rokiem z małych funduszów i rozwinęło się nader pomyślnie, a pierwsza kolej konna zamiejska jest dziełem własnej inicyatywy i miejscowych kapitalistów.

Rzadko się zdarza, abyśmy wpadali sami na dobry pomysł, nie zarzucili go zrażeni trudnościami wykonania i doprowadzali do skutku.

Z tramwajem do Wilanowa jakoś się udało, a że powodzenie bywa najlepszym przykładem do naśladownictwa, więc zapewne i w innych kierunkach nowe jakieś spółki zaczną układać szyny i ułatwiać nam tanio a przyjemne wycieczki w okolice podczas letniej pory.

Już podobno szykuje się taki tramway na Bielany.

Pan Huss zamyśla z czasem konie przy wagonach zastąpić małemi lokomobilami, opalanemi benzyną, jakie są w użyciu zagranicą do kommunikacyi na niedalekie przestrzenie.

Bardzo dobrze; zyskamy jednę nowość więcej, byle tylko nie spowodowała wypadków niebezpiecznych.

W ostatnich czasach lokomotywy bowiem stały się podpalaczkami i zapruszyły pięć razy ogień, który wiatr rozdmuchał w pożary lasów; w zeszłym tygodniu iskra z komina padła na młody zagajnik w Jabłonnie, zapaliła go, a w kilka godzin na 150 morgach szalały płomienie, obracając w perzynę starodrzew, do którego pożar się przedostał.

Ma być przeprowadzone śledztwo w celu wykrycia przyczyny tak częstych a nagłych wypadków, maszyniści otrzymali instrukcye, aby ostrożniej obchodzili się z otwieraniem wentylów w pobliżu zabudowań i lasów, kominy mają dostać kapice ochronne i węgiel do opału lokomotyw ma być zmieniony.

Tymczasem wszelako szkody zostały wyrządzone i to znaczne, przenoszące przeszło 100,000 rs., o które poszkodowani upominać się będą u zarządu kolei nadwiślańskiej.

Ta kolej nadwiślańska ma istny *pech*; coraz, to jakiś nowy powód się znajduje do użalań, do pogłosek, do mówienia i pisania o niej, do dyskussyi za i przeciw...

* * *

Szczepienie ochronne ospy jest poprostu obowiązkiem, nietylko względem własnego zdrowia, ale i względem swoich najbliższych, których nie powinno się narażać na niebezpieczeństwo choroby i stykania się z nią w domu.

Przed dwoma laty uderzaliśmy już w ten dzwon alarmowy i wówczas rewakcynacya rozpowszechniła się w Warszawie dość znacznie; jeden z lekarzy zapewniał mnie dowcipnie, iż przeciw epidemii ospy powstała epidemia szczepienia, szczególniej w warstwach, dbałych o swoje zdrowie i gładką płeć.

Znaczna tedy ilość osób przechodziła niedawno temu tę operacyą i może się uważać za zabezpieczoną, ale reszta powinna poddać się jaknajrychlej ochronnemu szczepieniu, nie czekając, aż na miejscu ukażą się wypadki groźnej epidemii.

Bardzo na czasie przypomniano też sobie projekt założenia towarzystwa opieki nad chorymi po domach, a dla uniknienia zachodu i straty czasu, postanowiono zaniechać na razie tworzenia nowego stowarzyszenia, lecz utworzyć w Towarzystwie Dobroczynności sekcyą, któraby się spełnieniem rzeczonego projektu zajęła.

Jest to droga prostsza i krótsza, a cel jej leży i tak w zakresie filantropii, która ma istniejącą od tak dawna własną instytucyą w Warszawie.

Nie twierdzę, aby temata powyżej poruszane należały do środków uprzyjemniających tegoroczne święta, ale niepodobna było zamilczeć o nich z prostego obowiązku kronikarza, który faktów nie stwarza, lecz dobierać je musi z tego materyału najważniejszego, jakiego mu chwila bieżąca dostarcza.

Zapewne, iż chcąc być milszym dla ucha czytelników moich, mógłbym im szeptać nowinki brukowe o szczególniejszych wpływach tegorocznego postu na ożywienie się ruchu matrymonialnego, jakim niejeden karnawał nie mógłby się pochlubić.

Hymen posprzęgał w swoje sidła mnóztwo par i przygotował do ołtarza narzeczonych, którzy z niecierpliwością oczekują rezurrekcyjnego dzwonu, aby jak najspieszniej dać na zapowiedzi i wyprawić weselisko.

Nic to dziwnego, miłość przecież idzie z wiosną w parze, a wiosna tegoroczna tak wczesna i tak pogodna, że i serca porozkwitały bujniej i łatwiej, niż któregokolwiek innego roku.

Na letni karnawał przybędzie nam tedy sporo młodych stadeł, które uświetnią sobą nie jedną lożę na wyścigach, nie jedno *corso* w nowym powozie, nie jeden salon na five-o'clockach.

* * *

A propos letniego karnawału; malarze nasi z literatami przygotowują dla niego sensacyą wcale oryginalną.

Oto szykuje się widowisko w Teatrze Wielkim, na którem brać od pędzla zillustruje w szeregu żywych obrazów „bajkę o zaczarowanej królewnie,“ zaś brać od pióra odegra jednoaktową komedyą, *ad hoc* napisaną przez Zygmunta Przybylskiego p. t. „Jeden dzień w redakcyi“.

Wszystkie role, a jest ich podobno dwadzieścia kilka, dostaną się w ręce samych literatów i dziennikarzy.

Pióra krytyków wyjątkowo ujmą sami artyści dramatyczni, którzy z tego przedstawienia zdawać będą sprawę w dziennikach zamiast stałych recenzentów i znajdą sposobność powetowania sobie za wszystkie czasy na skórze literackiej szramy i ukłócia, jakie im zadały stalówki fachowych Zoilów.

Może to być ciekawa zabawka, która zajmie zapewne publiczność swą niezwykłością, a dobremu celowi przysporzy trochę grosza, gdyż dochód z tego widowiska ma pójść na zapomogi dla artystów.

Im bardziej takie przedstawienie amatorskie stwierdzi przysłowie: *La critique est aisée, l'art est difficile*, tem zabawniejsze będzie; dobrą grę, rutynę, talenta spotykam codziennie w teatrze i mam je na zawołanie.

Nie rozumiem, dlaczego od amatorów na scenie wymagać koniecznie, aby grali jak artyści z zawodu; niech sobie grają, jak chcą i jak umieją.

Co do mnie, zawsze bawiłem się lepiej, patrząc na parodyą sztuki przez dyletantów granej, niż na owe wyuczone i poprawne popisy.

Tak często zdarzało mi się słyszeć pytanie:

— Jak pan uważa, chcemy grać teatr amatorski, coby tu wybrać? Pan, który znasz tyle sztuk, może nam co poradzisz.

— Chcecie państwo siebie zabawić i publiczność?...

— No, rozumie się.

— To grajcie „Zbójców,“ albo „Hamleta,“ albo...

— Eh, pan sobie z nas żartuje!...

— Broń Boże.

— Gdzież my to potrafimy! przecież to tragedye.

— Ale wyjdą komicznie i będą zabawniejsze od najweselszej farsy.

Nie chciano mi nigdy wierzyć i obrażano się za taką radę.

Firma Gehethnera i Wolffa widocznie także nie podziela mojego zdania, bo oto rozpoczęła wydawnictwo p. t. „Teatr amatorski,“ w którem wydrukowała kilkanaście komedyjek jednoaktowych oryginalnych i tłómaczonych, nadających się szczególniej dla popisu dyletantów.

Wiadomo, ile-to zachodu wymaga wybór sztuki, wydostanie egzemplarza z biblioteki teatralnej, przepisywanie go, rozpisywanie ról, etc. etc.

Księgarnia zatem Gebethnera i Wolffa oddaje amatorom przysługę, dostarczając im cały zbiór takich bluetek, wodewilów, obrazków i drobiazgów, stanowiących repertoar teatrów domowych,

* * *

Ze zbliżaniem się sezonu letniego wznawia się co roku u nas kwestya teatrzyków ogródkowych, które odradzają się, jak Fenix z popiołów w każdym Czerwcu a rozwiewają w pył każdego Września.

Obecnie już nam zapowiadają kilku odważnych, którzy ścielą gniazda dla tych Fenixów i „jeszcze raz, jeszcze raz“ pragną spróbować szczęścia w Warszawie.

Ten upór, czy ta wytrwałość godne podziwu i pożałowania; przecież z góry można przewidywać smutny koniec takich prób, którym najczęściej brak sił i środków do osiągnięcia powodzenia.

Stanowczo epoka ogródkowa u nas minęła, publiczność zraziła się i zniechęciła do teatrzyków, których namnożyło się za dużo, do których nic dzisiaj nie ciągnie: ani dobry repertoar, ani znośna choćby gra.

Przy dwóch stałych scenach w porze letniej, jeden lub dwa teatrzyki ogródkowe, co najwięcej, mogłyby się jako tako utrzymać pod warunkiem, że postarałyby się o dobry personel i wynalazły dla siebie odrębną specyalność, przygotowały poprzednio dobór sztuk, mogących liczyć na powodzenie.

Inaczej znowu w repertoarze rozpanoszy się lichota, w grze miernota i podwójne bankructwo, moralne i finansowe, nie chybi.

Dobrzeby było wziąć to pod rozwagę przed czasem, aby uniknąć zawodu i nie sprawiać go innym.

* * *

Dwa projekty wznawiają się też z nastaniem cieplejszej pory u nas: jeden dotyczy ogrodu zoologicznego, drugi muzeum etnograficznego; z założeniem nowego zwierzyńca w skromniejszych rozmiarach nosi się ktoś, co widocznie jest wrogiem własnej kieszeni.

Zwierzyniec „swojski“, bez zwierząt drapieżnych nie będzie budził zajęcia; psy, koty, kury, owce, capy, krowy, i t. p. okazy nikogo nie przyciągną, skoro słonie, wielbłądy i tygrysy tego nie potrafiły w nieszczęsnej pamięci ogrodzie zoologicznym. Poprzestajmy zatem na wędrownych menażeryach, i nie rzucajmy się na nowe a bardzo wątpliwe ryzyka!

Muzeum etnograficzne za to dochodzi do skutku; zakłada je znany podróżnik p. Leopold Janikowski i p. Szczęsny Jastrzębowski.

Pozwolenie władzy na urządzenie takiej wystawy już uzyskane.

Zatem na początek złożą wcale zajmującą całość zbiory, przywiezione z Afryki przez p. Janikowskiego, (okazów około 5,000), następnie przedmioty, które stanowiły zawiązek etnograficznego działu przy Zwierzyńcu w Bagateli, wreszcie kollekcya jaj i kraszanek, obejmująca przeszło 4,000 sztuk.

Dr Jan Karłowicz, kierownik „Wisły,“ oddany całą duszą badaniom fizio-i etnograficznym, przyrzekł swój współudział w zbieraniu innych jeszcze okazów, — może się zatem powoli rozwinąć takie Muzeum i urosnąć do rozmiarów poważnej a pożytecznej i zajmującej instytucyi.

Jako interes, jako przedsiębiorstwo, wątpię, aby się opłacało, ale też nie w tym jedynie celu zostaje podjętem; musianoby chyba dodać dwa wabiki dla naszej publiczności, chcąc ją liczniej przyciągnąć: muzykę np. międzynarodową i pilznera na kufle, który coraz większą konkurrencyą wytwarza naszym browarom.

* * *

Zdarzają się jednak i u nas rzeczy nieprawdopodobne, może i wystawa etnograficzna powiedzie się lepiej, niż przypuszczam, skoro jedyne w prassie naszej pismo popularno-naukowe „Wszechświat“ mogło w tych czasach obchodzić swoje—dziesięciolecie.

Dziesięć lat przetrwało i wychodzi dalej, co więcej stwierdza, że w tym czasie nauka u nas postąpiła w rozmaitych kierunkach, badania przyrodnicze się ożywiły i pogłębiły, zamiłowanie do nich wzrosło, a około 200 uczonych poświęciło się wszelakim gałęziom wiedzy, jak chemii, fizyce, zoologii, botanice, geologii i ogłosiło wyniki swoich studyów i pracy w dziełach drukowanych i rozprawach, któreby mogły utworzyć już pokaźną bibliotekę.

Naturalnie—powiada „Wszechświat“—wszystko co w tym kierunku u nas zrobiono, jeszcze bardzo umiarkowanie się przedstawia, jako materyał do skreślenia do historyi nauki przyrodniczej w przyszłości, wiele jeszcze do zrobienia zostaje, nie mniej usiłowania wybitne są dowodem, że na chęciach i pracy nam nie brakuje i prędzej czy później, ta praca i chęci uwieńczone zostaną pożądanym i dobrym rezultatem.

To objaw zatem, nietylko pocieszający, ale i zaszczytny dla nas; pozwalam sobie pod jego wrażeniem zakończyć dzisiejszą gawędę i dopisać tylko krótkie, ale serdeczne życzenia dla moich czytelników i ich rodzin:

— Wesołych świąt!...

Quis.

IDEA W WYCHOWANIU.

(Dokończenie).

„Nauka jako środek a ludzkość jako cel“, to formuła filozofii pozytywnej i Thamin pyta: czy ta abstrakcya, którą dla młodego dziecka jest szczęście ludzkości, wystarczy mu przy tych pierwszych krokach życia, które przecież wymagają już jego woli wolnej, aby przyniosły mu jakąś korzyść duchową? Daje mu tu regułę postępowania jaśniej, dobitniej stary nakaz religijny *Dziesięciorga Przykazań:* — Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego... i prostaczek każdy wie już o co tu chodzi, wie też nawet dziecko nieduże, a widok otaczającego je świata z cudowną jego harmonią, przyroda, ta matka karmicielka daje mu zrozumieć Boga, którego dzieła widzi. Zaczyna więc rozumieć moc Jego zaraz przy pierwszem na świat spojrzeniu, rozjaśnionem o tyle wiadomością spraw życia, że z niczego nic być nie może. Bóg, choć niewidzialny, objawia mu się w dziełach swoich, więc pojęcie go jako istoty najwyższej, światem rządzącej, daje się wprowadzić w umysł młodziuchny, budząc w sercu uczucie wdzięczności, zatem i posłuszeństwa prawom, które mu przedstawione zostają, jako nakazy tego Boga. Ale szczęście ludzkości to wyraz nic wręcz nieokreślający, bo każda pojedyncza jednostka inaczej rozumieć go może, i ztąd podlegający dyskussyi, nie zdoła przedstawiać stałego prawa.

To przecież wykazała już historya, a wierzyć w to nakazują nietylko prawa moralności, że gonienie za szczęściem nie daje go bynajmniej, nie przybliża nas do niego. Tak jednostki pojedyncze, jak społeczeństwa całe nie podniosły się w godności, w zabezpieczeniu bytu swego, w rozumie i cnocie inaczej, jak tylko umiejąc poświęcać szczęście idei dobra i autor stawia tu przykłady z historyi Francyi, jak wszelkie nabytki ogólnego szczęścia, ogólnego dobrobytu, podniesienie się w sile, w godności dostojnej musiały być opłacone poświęceniem się obywateli, w osobach własnych i w mieniu posiadanem. Thamin dodaje też, że tak Francya jak wszystkie narody w ogóle powinny się pilnować, aby kult ludzkości nie wydarł tej ludzkości tego, co jest najszlachetniejszą dźwignią czynów każdej jednostki pojedynczej: aby utylitaryzm nie doprowadził do gonienia za dobrami materyalnemi jedynie, nie stał się motorem dążeń tego egoistycznego gatunku, wobec których niéma już wychowania z celem wyższym, szlachetniejszym, niż samolubne zabiegi o wygodę, o zadowolenie niższych instynktów człowieka. Wychowanie, które nie wznosi się do idei wyższej, nie stawia jej przed myślą, przed uczuciem wyrabiającej się do życia młodzieży, musi dojść do tego — i głębokie to jest zdanie, że, chcąc szczęście pozyskać, trzeba je najpierw utracić.

Charakterystycznym rysem tej wyższości człowieka, która go podnosi nad cały otaczający go świat istot na ziemi i, jest uczucie moralne. Ów rozum, który według starej formuły, wykazuje przez co różnimy się od zwierząt, jest to moralność, i człowiek tylko sam jeden na ziemi pragnie i łaknie, nietylko pożywienia i napoju, ale prawdy i sprawiedliwości, a pod tem to kryje się jedno jeszcze jego pożądanie już najwyższe: pożądanie, pragnienie nieśmiertelności, wydzierania się duchem poza świat materyalny. Fakt to jest niezbity: na najniższym stopniu umysłowości człowiek posiada jakieś wierzenia religijne, te skrzydła ducha, które go podnoszą ponad ziemskość, ponad teraźniejszość, i historya ludzkości wykazuje to u ludów nawet na najniższym stopniu cywilizacyi, rozwoju umysłowego, jak dowodem tego jest fetyszyzm. Istota ludzka nie może istnieć bez ideału, dającego jej myślom, jej dążeniom lot ku górze—w zaświat, którego tajemnice pragnie zbadać. Gusła, wiara w czary, to również tęsknota człowieka do tych sfer, do tych potęg niewidzialnych a odgadywanych cudem jego duchowego ustroju, wskutek którego musi on posiadać koniecznie, nieuniknienie ujście poza dotykalną rzeczywistość materyalnego istnienia — drabinę Jakubową, po której duchy niebieskie zestępują na ziemię a te, które mieszkają na niej, dążą do nieba. Iść za naturą... jest zasadą, jest hasłem filozofii pozytywnej. Otóż ta natura ludzka wykazuje właśnie, że nie samym chlebem żyje człowiek — że trzeba mu wzlotu w zwyż, i skoro wyłamie się on zpod tego prawa, i posiadający wolę wolną chce się obywać tem tylko, czem karmić może go ziemia, zamierają w nim najszlachetniejsze przymioty człowieka, a to nawet, co mu pozostaje: czem żywi umysł, co czyni swojem prawem moralnem—moralnem życia kodexem, jest spadkiem po przeszłości, która budowała cywilizacyą całą na gruncie ideału, podnoszącego człowieka nad byt materyalny jedynie. Wszystkie ustawy porządku, nawet materyalnego, wszystkie instytucye, które posiada społeczeństwo ludzkie, są wynikiem owego nakazu, który chce teraz odtrącić.

Pierwszem prawem, jakiem wychowanie rządzić się musi — pisze Thamin, jest przystosowanie się do tego niezaprzeczalnego i podstawowego charakteru człowieka, który jest głęboko odczuwanem prawem istnienia o pierwiastku duchowym: prawem nieśmiertelności, wiążącem go z przeszłością i przyszłością — z tem, co nie znika, nie umiera: z prawdą, sprawiedliwością, miłością wiekuistą. Niech człowiek, chcący się wyłamać zpod rządu wyższych praw natury swojej, owija w pozór najbardziej pociągający tę grubą strawę, jaką chce karmić siebie i ludzkość wedle własnych pojęć o jej potrzebach rzeczywistych, niech szuka zastosowań najlepiej się procentujących przez dobrobyt materyalny, — nie nasyci tem wszystkiem *człowieka*, bo jego istota wewnętrzna będzie głodną. Nikt, mędrzec żaden, nie jest zdolnym zmienić właściwej natury ludzkiej, nie tylko w innych, ale nawet w samym sobie, i nieraz, o! nieraz mściła się ona i mścić będzie wiecznie na ludziach, chcących jej przeczyć.

Obserwowanie człowieka w dziecku, które jeszcze nie mogło nic przejąć od nikogo, które zatem żyje o sile danej, o sile wrodzonej natury ludzkiej, prawdę tę wykazuje. Niemal od pierwszej chwili istnienia—od tej chwili, kiedy zmysły jego pozwolą mu już coś dojrzeć, coś poznać—rozróżnić przedmiot jeden od drugiego, już dziecko zaczyna żyć życiem idealnem, bo zaczyna coś kochać i płacze za matką, za niańką, lęka się samotności, okazuje radość, gdy ujrzy schylające się ku niemu oblicze miłej mu osoby—gdy dostrzeże uśmiech, na który zwykle odpowiada uśmiechem. Uczuwa już potrzebę kochania, uczuwa już wiarę i miłość, a wkrótce zaczyna działać i sumienie. Przekroczony nakaz osoby, nietylko mu miłej, ale i rządzącej niem, wywołuje w dziecku żal, smutek — niezadowolenie wewnętrzne i nigdy jeszcze nie ukarane, nie uderzone, płacze gdy ujrzy oblicza zasępione, śmieje się i cieszy, gdy je darzą uśmiechem, pieszczotą już dla niego słodką, choć niedającą mu nic materyalnie. Dlaczego dziecko tak kilkoletnie, jak niewiele co starsze — dziecko, z którem nigdy jeszcze nie obszedł się nikt surowo, które nie karano nigdy inaczej niż słowem wyrażającem, że postąpiło niedobrze, zasmuca się wtedy i rozżala? Dlaczego człowiek dorosły i pan zupełny woli swojej, postawiony w stanie winy, wiadomej jemu samemu, nie może już czuć się spokojnym i szczęśliwym, co jest rzeczą stwierdzoną na wielkiej liczbie ludzi? Jeden to i tensam fenomen moralny: uczucie złamanego prawa, niedokonanego obowiązku—odwrócenie się zatem od tego, co instynkt dobra każe uważać za powinność — od tego, co przedstawia mu się jako jako obowiązek do spełnienia, jako zwyciężenie tego, co jest złem, podnosi się przed oczyma naszego ducha w postaci winy, i najwyższem zadaniem wychowania jest rozwinąć ten instynkt dobra, tkwiący w głębi natury człowieka, a gdy to dokonanem zostanie, młodość otrzymuje od rodziców i wychowawców to, co na drogę życia dostać od nich powinno. Jest to zaszczepiona już w duszy religia dobra, religia prawa, które na wysokościach przedstawia nam Bóg, a na ziemi moralność, oparta na zwyciężeniu instynktów egoizmu, to jest natury zwierzęcej, na korzyść duchowej natury człowieka.

Autor francuzki woła też na społeczeństwo swoje, że nie wyżyje ono tak, jak jednostka żadna nie wyżyje dobrze i szczęśliwie bez ideału: bez górnej cnoty, bez wzniesienia wzroku po nad ziemię, bez szukania tam i znajdowania tego, czego dać mu nie może idea filozofii pozytywnej — dążenie do realnych tylko wziątków życia. Nasz poeta, oskarżający stulecie, w którem żyjemy o rozwielmożnienie się doktryn filozofii pozytywnej, Adam Asnyk woła w pysznie pięknej poezyi swojej: „Wiek XIX.“

Na co się przyda mistrzu, twa nauka
No co się przyda dla błądzącej rzeszy?
Gdzież masz pociechę, której ona szuka?
Gdzie masz tę miłość, która ją rozgrzeszy?
Dałeś jej ziemi obszary jałowe
I dożywotnie dałeś jej dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę:
Idealnego świata uczestnictwo.
Choć jasne źródła stają jej otworem,
Ona z nich przecie rozkoszy nie czerpie
I woła, sercem upadając chorem:
— Po co ja żyję, umieram i cierpię...

M. I.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Zmieniono takt szybko, gwałtownie—błyskotliwy walc zabrzmiał, wkoło ogromnej sali z szumem wir poszedł. Szambelan kilka szybkich, konwulsyjnych obrotów zrobił—i runął w cienie palm, pociągając niemal Zosię za sobą. Upadła prawie na sofę, zmieszana, odurzona szalonym wirem. W głowie jej kręciło się, jagody płonęły, serce biło gwałtownie. Szambelan musiał się pośliznąć i w upadku swoim na otomanę dotknął jej twarzy ustami... Brr! jakie te usta zimne, ślizkie od czerwonej pomady.

Wzdrygnęła się...

— Drży!—szepnął szambelan w duchu.

Nie!—myślała dalej — to jej się wydało. Uderzyło ją przyśpieszone tempo walca, zmąciły się myśli – i Bóg wie co do głowy się wcisnęło.

— Szambelan jesteś doskonałym tancerzem — odezwała się, poprawiając kwiaty u gorsu.

— I znawcą kwiatów—dokończył Pirski...

Pochylił się, chcąc powąchać—Zosia cofnęła się w głąb sofki.

Wir tańca trwał nieustannie, szambelan połykał powietrze, nie mogąc jeszcze przyjść do równowagi.

— Od ostatniego balu w Tuileryach nie tańczyłem. Cesarski bal miał być ostatnim dla mnie balem... Po dotknięciu ręki Eugenii w walcu niczyjej mi dotykać nie było wolno, chyba równie pięknej, jak tamta... Dziś — zwolniony jestem ze słowa.

Wziął wachlarz z rąk Zosi i, wyręczając ją, wachlować zaczął.

— Czy znasz, piękna Zofio, wachlarzową rozmowę?—szepnął.

Zosia zaśmiała się.

— Biegły pan w niej jesteś?

— O!—zawołał szambelan —*Et vous, madame?*

— Nie znam jej zupełnie.

— Czy być może?—rzucił się Pirski — *Eh! vous-êtes mal élevée*, edykacya mojej kuzynki niedokończona jeszcze... Muszę panią nauczyć... rozmowa *très interessante*, salonowa prawdziwie, konieczna!— dodał z przyciskiem.

— Ko-niecz-na?

— *Oui, oui!* w danym wypadku... *Vous comprenez!* A zatem...

— Pan szambelan chce ponieść ciężar dalszego mojego wychowania?

— Z rozkoszą! z upojeniem!... Doprawdy, nie wiem co się dzieje ze mną?... Masz— o czem to mówiliśmy?

— Miałeś mnie pan nauczyć...

— *C'est ça! oui!*— przerwał szambelan.

Rozłożył trzymany w ręku wachlarz.

— Jeżeli pani porusza nim lekko, tak. . (patrząc oczywiście na mężczyznę, z którym masz coś do pomówienia) jeżeli więc pani porusza nim lekko— tak, zbliżając, to oddalając od siebie—znaczy: *venez causer avec moi!... Vous comprenez?*

— Pojętną jestem—zaśmiała się Zosia.

— Jeżeli zaś pani, rozłożywszy go, nieruchomie trzyma—to znaczy: *tu ne m'interesse pas!...*

— To dobre! używać go w ten sposób jaknajczęściej będę—odezwała się uczennica.

— Teraz... Jeżeli go pani do ust przyłoży, potrzyma chwilę i nagle odsunie...

— Rozumiem już, idź pan dalej.

Szambelan oczy przymrużył i uśmiechnął się rozkosznie.

— A jeżeli—ciągnął przejęty ważnością wykładu— pani, do zbliżającego się natręta wachlarz trzonkiem obróci, to oznacza krótkie ale dobitne: *allez-vous en!..* jeżeli zaś, przeciwnie, złożony wachlarz górną stroną skieruje pani... ku mnie naprzykład.....

Zosia z zaciekawieniem czekała końca prelekcyi.

— *Je t'aime!* słodkie! *je t'aime* — milcząco się mówi.

W tej chwili jeden z tancerzy podbiegł i poprosił do walca panią Skalską. Zosia pierzchnęła, Szambelan zagłębił się w cieniu i, cmokcząc cukierki Sirodena, łowił ruchy czarownej tancerki. Wtem spostrzegł przechodzącego nieopodal Zygmunta.

— Zyż, pst!—zawołał, trzaskając w palce.

Zygmunt podszedł i usiadł przy szambelanie.

— *Comment va?*—zapytał ten ostatni, uśmiechając się i przymrużając małe oczki.—Ty-ty-ty, bałamucie— dodał.—Uważam dobrze... Natalie, he?— dodał znacząco. — Ostrożnie, urwisie, bo się spalisz!

Zygmunt pokręcił wąsa i westchnął.

— Oho—taaak? - rzekł przeciągle szambelan.

— Co, wuju?

— Te—te—te... Mam oczy, słuch, węch... No, hę? Natalka wpadła ci w oczko?

— A, cóż?...

Szambelan pochylił się i zaczął coś szeptać na ucho.

— Wuju... mam żonę!—zawołał Zygmunt.

— Wiem nawet w którym kościele ślub brałeś. Uderzył Skalskiego po kolanie.

— *Tu ne me tromperas pas!* — dodał z przyciskiem.

Zygmunt sponsowiał.

— A gdyby mi i wpadła w oko, jak to wuj powiadasz—to obowiązkiem moim...

— Wierność małżeńską z całą uczciwością do końca zachować—Cha! cha! cha!... Dajże mi pokój, Zyż, z tą parafiańszczyzną... Gdy ptaszek wpada w sidełko, pociąga się za sznurek i—klap! Później wypuszcza się—*cela va sans dire!*—dodał, przełykając cukierek Sirodena.

Kilka par przewinęło się koło rozmawiających. Zosia, wsparta na ramieniu tancerza, frunęła pierwsza, rzucając uśmiech stojącemu opodal mężowi, lecz szambelan inaczej adres pojął i za Zygmunta dał odpowiedź; następnie przesunęło się par kilka jeszcze, wreszcie pani Natalia szybkim wirem wionęła. Skalski podniósł się, wsparł się dłonią o basen marmurowy, z pośrodka którego tryskała wązka struga pokojowej fontanny, skrapiając kwiaty—i patrzał. Wzrok jego pobiegł za śladami stóp Natalii, szukał jej wśród tańczących — chwytał, gdy znikała—znajdował zawsze.

Piękną była—owiewał ją czar jakiś. Za ciężki może strój miała na sobie, lecz on jej wdzięki podnosił.

Czarna, aksamitna suknia, podpięta soliterami rubinów, spływała z dźwiękiem niewymownym po miękkich liniach jej ciała; na obnażonej, drżącej jakiemś przezroczystem światłem piersi, rzucając kryształową poświatę czerwieni na ramiona i szyję o kształtach cudownych, świecił krwawo naszyjnik rubinowy; wieniec z takichże rubinów otaczał pyszny warkocz kasztanowatych włosów i drgał światłem płomiennem, niby aureolą unoszącą się nad głowami świętych. Ale blask jakiś straszny, gnębiący, uroczy zarazem bił z oczu jej czarnych, drżał i płonął tymsamym ogniem rubinowym, który lekką falą światła czy mgłą promieni dokoła niej się unosił.

Była chwila, że Zygmunt tracił świadomość rzeczywistości. Szum wirujących par, jaskrawe lamp połyski, tony muzyki — zmieszały się w jednę, tajemniczą pieśń szmerów. Zdawało mu się, że senne marzenia tłumnym otoczyły go rojem, że był porwany i niesiony na skrzydłach niewidomych w krainy nadziemskie. Oddał się wichrowi, który go unosił, i czuł jak serce mu biło mocno, jak pierś wypełniała się rozkoszą.

A wkoło niego coś się plącze, wre, kipi, burzy... Dźwięki rozkosznego tańca kołyszą się w powietrzu, kręcą się pary jakimś wirem szalonym dalej, dalej i dalej. A wpośród nich, jak widmo z różnobarwnej mgły wydmuchnięte, w atmosferze świateł i woni, promienna od rubinów, co skrzą się nad jej czołem, na łonie drżą, spływają do stóp, niby obręcze gwiazd zabłąkanych—unosi się urocza postać Natalii, której wzrok z wiru szalonego tańcu wybiega jasny— szuka go, wciska się pod powieki, pali — pali i pali.

Szambelan nie spuszczał oka z Zygmunta, przeciągnął kąty ust, patrzał przez rzęsy i śmiał się milczącą mimiką twarzy. Myśl jak sondę zapuścił do mózgu Skalskiego i dojrzał tam panowanie szału; w serce się wśliznął — i uczuł ogień, który topi kajdany.

— Zyziu—ha? — rzucił mu w ucho.—Palisz się!

— Palę—odpowiedział bezwiednie.

— Piękna, co?

— Piękna!—wyszeptał Zygmunt.

W tej chwili piękna wyrwała się z ramion tancerza, zmęczona, omdlała padła na sofę, głowę w tył pochyliła, piersią się naprzód podała. Zmęczone łono podnosi się szybko, rubiny drżą, mienią się jaśniejszem to bledszem światłem, migocą, czerwienieją, tysiącem barw grają—płoną...

Zygmunt oczy przymrużył, powieki ścisnął gwałtownie—ale widmo nie znikło. Kołysało się w głębi jego źrenic, paliło mu myśli.

— To zbrodnia! - wyszeptał nagle...

Usunął się, rzucił w róg sofy i chwilę tak w bezdusznej martwocie pozostał.

Wtem jakieś tchnienie ciepłe musnęło go po twarzy, jakiś szelest jedwabny zatargał wszystkiemi nerwami jego.

Otworzył oczy...

Szambelana nie było.

A tuż, tuż przy nim, z koralami nieprzygasłych jeszcze rumieńców, siedziała Natalia. Zygmunt nie uchylił się, choć pukiel jej włosów skroń mu łechtał, choć go owiewał ciepły oddech jej ust, choć dłoń, niechcący, jego się dłoni dotknęła. Krew lawą palącą przelatywała mu przez żyły—milcząc, pił rozkosz marzenia.

Walc krążył dalej. Szambelan był na usługach Zosi; Ernestyna zbliżyła się do palm.

— Kochasz?—wypadło ztamtąd cichym szeptem, niby szmer spadającej kroplami fontanny.

— Jak szalony! jak obłąkany! — drugi głos zabrzmiał.

Ernestyna przesunęła się koło siedzących, krokiem powolnym, obojętnym, i zbliżyła się do szambelana, podającego Zosi lody na spodku.

— *Tout va bien!* — rzekła, uderzając kuzyna wachlarzem po ramieniu.

— Czarowny bal!— odpowiedziała Zofia.

Szambelan połknął naraz dwa cukierki.

O godzinie trzeciej bal się skończył, gdyż szambelan przez dbałość o dobry swój wygląd przedłużać zabawy nie chciał. Tłómaczył się zwyczajem przyjętym w Tuileryach i dał hasło spoczynku.

Gdy czwartą w jadalnej sali staroświecki zegar wydzwonił, dźwięk jego rozszedł się echem w pustym pokoju i skonał w ciemności i ciszy. Przez wielkie szyby okien wpadał blask miesięczny i podłużnemi kwadratami plam świetlnych na szklącej się posadzce rysował.

W pałacu szambelana tajemnicza zapanowała cisza—przerywał ją czasem jakiś szmer daleki. To może echo zbudzone powtarza przebrzmiałą melodyą walca i wzywa mary do pląsów...

— Pst!

Otworzyły się drzwi lekko — przesunął się cień czarny. Drugie drzwi się naprzeciw uchyliły—zjawił się drugi i znikły razem w zakrętach kurrytarza.

Zza czarnej kolumny stojącej w rogu wybiegła nagle wysoka postać mężczyzny. Widocznie stał na czatach. Skoczył ku jednym, ku drugim drzwiom—i znikł w ciemności.

Do gabinetu kuzyna weszła pani Tirard; szambelana nie było. Po chwili wbiegł—i rzucił się na fotel przed dużym biurem stojący.

— Cha, cha, cha!—śmiała się Ernestyna — jacy wy kochliwi jesteście!...

— Ernestine! miej baczność na Zosię — rzucił Pirski.

— Czy tak bardzo zająłeś się nią, Zyziu?

— *Parbleu!* ja ją mieć muszę! — kszyknął szambelan.

— Co ci się marzy, szambelanku? co ci się marzy?—ruszając głową odezwała się Ernestyna.

— Co mi się marzy?... he! — odżyć pragnę, odmłodnieć pragnę!... w niej znajdę elixir młodości. Natalia Zyzia puści nie prędko. Sophie go kochać przestanie—a wtedy... i o rozwód nie trudno!

— Aż tak?

— Wszystko być może, wszystko!... Ty, zaskarb jej przyjaźń, mów o mnie często; wspomnij, że i królewskie trafiały się mi partye, bom... bom Pirski! Znaczy coś majątek, imię i klucz szambelański i—i—i... bez liku *i!*

— Mogę to zrobić dla ciebie, szambelanku, tylko... ślub prawny!

— Tak, tak, tak!... *Parbleu!...* nie myślę inaczej, *ça!...*

Ernestyna usiadła przy szambelanie.

— Mam prośbę do ciebie.

— Hie?—spytał Pirski, zwracając się do Ernestyny.

— Na wsi wielka bieda, z powodu nieurodzaju ludzie głód cierpią.

— Tak, słyszałem... Biednych wspomagać potrzeba. Zajmij się! każ wydać zboża na siew i pieniędzy na chleb. *Ça!...*

Z uśmiechem na ustach opuściła Ernestyna gabinet szambelana. Pirski przetarł senne powieki. Znużony był, palce mu drżały lekko, gdy sięgnął po sznur jedwabny i na kamerdynera zadzwonił. Służący wszedł, przygotował dwie szklanki z wodą; do jednej parę *maczków* rzucił, do drugiej kroplę z pierwszej i podał panu.

Szambelan wypił.

— *Fort!*—rzekł do kamerdynera.

Zagasił lampę i zasnął snem niezdrowym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Dnia 1 Kwietnia 1892 r.

Pogody Marcowe.—*Carpe diem* Paryżanina.—Wystawy artystyczne: kobiet artystek (niepowodzenie) akwarellistów.— Pastelistów i *Independentów*.—Konferencye i kazania wielkopostne Stowarzyszeń Duchownych.—Protestacye i skandale.—Wybuchy dynamitowe.—Przechadzka po pałacu Mazariniego.—Jak wygląda schronienie nauk. — P. Rénan.— Dorywczy szkic sławnego akademika i jego ostatnia książka: *Les feuilles détachées.*

Marzec, zwykle tu burzliwy i cierpki, łagodniejszym był w tym roku. Oprócz kilku dni zawieruchy i zimna, mieliśmy czas przyjemny, słoneczny, i jakby już w świąteczne przystrojony szaty.

Niéma jeszcze wprawdzie liścia na drzewkach, ale kwiatów, sztuką czy przemysłem stworzonych, bez liku. Każdy sobie powiada „*Carpe diem*“, pomimo, że pomiędzy ludźmi niéma porządku i ładu.

Jak zwykle tu się dzieje, otwarto przeróżne wystawy artystyczne, jakby przedmowy do wielkich dorocznych wystaw na Polach Elizejskich i na Placu Marsowem.

Pierwsze wysunęły się naprzód kobiety — artystki. Niestety! — dobre, najlepsze chęci nie odpowiedziały trudnemu zadaniu. Brak zupełny tych imion, które przyzwyczaiły publiczność do patrzenia pobłażliwem okiem na całość nie zawsze równie wyborową i świetną. Istna nawałnica pokuszeń o zdobycie wieńca pleneryzmu (!). Miernota ogólna daje wrażenie tak nieprzychylne, że najwyrozumialsi krytycy musieli dać za wygraną i czekać odwetu, jeśli los pozwoli, w roku przyszłym.

Zato stowarzyszenie akwarellistów podniosło się o kilka stopni wyżej. Oprócz zwykłych artystów, którymi stowarzyszenie może się poszczycić: ś. p. Meissonnier, Detaille, Vibert, Péreau i t. d. znalazło się kilku młodszych, którzy swój występ zaznaczyli po-mistrzowsku. *Rok 1806*, wielka akwarella sławnego obrazu Meissonniera, głośne i pierwsze zajęła miejsce, chociaż, oddając sprawiedliwość należną mistrzowi, wyznać musimy, że obraz olejny owiele przewyższa zaletami estetycznemi akwarellę dziś tu wystawioną. Stowarzyszenie na tem nie ucierpi bynajmniej. *Non cuivis homini contingit adire Corynthum!* Można się pocieszyć kiedy zwłaszcza ma się takich wspólników, jak pani Lemaire i spółka!

Tuż obok tej pięknej wystawy, i w ślad za mistrzami akwarelli wystąpili świetnie tego roku pasteliści francuzcy—ale niestety! Francuzi, którzy byli prawdziwymi twórcami portretu w ostatniem stuleciu, dziś, zamiast iść tak świetnie utartą drogą przez sławnych poprzedników, kuszeni podszeptami złego ducha, puścili się na nowe szlaki i szukają dziś tego, czego pastel nigdy dać nie zdoła: nie tych delikatnych, powiewnych odcieni barwnego pyłku, ale — siły i energii; zaniedbują portrety a biorą się do pejzażów i morskich widoków, gdzie sztukę swą odzierają z blasku, czaru i wdzięku.

Jakby naprzekór prawdzie i opinii powszechnej, *Les Indépendants* wystąpili w tym roku jak nigdy. Komitet przyjęcia, znudzony zapewne krzykami i protestacyami lat przeszłych: dlaczego przyjęto P. X.. a odrzucono P. Y? — postanowił w tym roku przyjąć wszystkich bez wyjątku. To też jest na co się popatrzeć i czem się ucieszyć: prawdziwy dom waryatów! Jak zwykle, wystawa odbywa się w jednem ze skrzydeł byłego Pałacu Tuileryjskiego, od strony Sekwany; do dawnych trzech sal dodano w tym roku dwie nowe — i Niepodlegli stanęli w całym komplecie. Są tam i ci, co dawnej trzymając się metody, wloką się jak mogą; są i ci, co punktami żółto-niebiesko-czerwonemi smarują płótna jak mogą; są tacy, którzy nic widzą wszystko zielono; są nakoniec i tacy, którzy nic nie widzą, a zabryzgawszy płótno, jak czteroletnie chłopię, różnobarwną bazgraniną, jakby wycierali na niem swe pendzle, mają się za pierwszych mistrzów.

Komitet urządził cały ten chaos dosyć dowcipnie, co dowodzi, że owo stowarzyszenie nie jest tak dalece niesforne, za jakie chce uchodzić. Pierwsza sala od wejścia składa się z umiarkowanych; w drugiej mieszczą się trochę już radykalniejsi, w trzeciej i czwartej panuje mieszanina—a w piątej można stracić głowę. Jest to orgia, obłęd, nieprzyzwoitość i mistyfikacya... Tu jest właśnie powodzenie, tryumf—i najwyższy szczebel obłąkania...

Od kilku miesięcy nierzadko trafia się tutaj spotkać na zgromadzeniach publicznych z tytułem konferencyi—duchownych; dawniej było to rzadką rzeczą. Na tych zgromadzeniach księża, nietylko biorą udział w rozprawach, walcząc gorliwie przeciw teoryom anarchicznym, ale tłómaczą tej publiczności, nieprzywykłej do tego: miłość dla cierpiących i miłosierdzie dla wszystkich według nauki Chrystusa.

Na pierwszych zgromadzeniach, gdzie się ukazały sukienki duchowne, wrażenie powszechne było wyrazem zdziwienia; bo tu, pomimo wszystko, dyscyplina duchowna jest dotąd w całej swej sile. Powoli, zadziwienie znikło, i dziś jest to rzecz przyjęta, że obecność księdza na zgromadzeniu ludowem nie jest wcale rzeczą niezwykłą. Próby podjęte w celu poruszenia mas ludowych nieuczęszczających do kościoła wydały, jak się zdaje, dobre skutki, gdyż widzimy z jakim gwałtem powstały przeciw temu apostolstwu stronnictwa skrajne.

To też liczba księży gotowych do walki i za prawdę stających z przeciwnikami oko w oko, pomnożyła się tak bardzo, że musiano założyć stowarzyszenie pod nazwą: *Association des Conférenciers*.

Dzięki temu stowarzyszeniu ksiądz będzie dobrze świadomy taktyki swoich przeciwników. Uprzedzony o tezach i zarzutach, nie zaniedba należycie się uzbroić przeciw wszelkim argumentom.

Stowarzyszenie przyjmuje do swego koła kilku świeckich wybranych mówców. Obowiązkiem ich będzie uczęszczać na zgromadzenia publiczne wszelkiego rodzaju, na których, przez wzgląd na swoję godność osobistą, duchowny ukazać się nie może... Są bowiem zgromadzenia i zgromadzenia; a kiedy się jest przekonanym, że ton rozprawy nie będzie dość przyzwoitym, ksiądz się usunie, a zastąpi go wówczas członek świecki stowarzyszezenia.

„Zgromadzenie konferencyonistów“ stanowi jakby straż przednią obrony religii, uzbrojoną przeciw nieprzyjaciołom w cały, zupełny rynsztunek nauki, przekonania i wierności niezachwianej sprawie Kościoła.

Zgromadzenie ma przytem członków korrespondentów na prowincyi i zagranicą, którzy je będą zasilać wiadomościami zewsząd i donosić o postępie głównych zadań zgromadzenia.

Jeden z głównych założycieli zapytany: co myśli o wpływie Stowarzyszenia w Paryżu? — tak odpowiedział: „Paryżanin nie jest bynajmniej nieprzyjacielem księdza, za jakiego go uważają powszechnie; jest on przeciwnie główną jego podporą, jeśli ksiądz pozostaje w granicach swego powołania, to jest: praktykuje miłość malutkich i biednych, niosąc pomoc potrzebującym za pomocą miłosierdzia!“

Tak rzeczy stały z początkiem wielkiego postu. Wszystko zdawało się zapowiadać najlepszy skutek tego przedsięwzięcia. Najwymowniejsi kaznodzieje zajęli ambony wszystkich kościołów stolicy: Ojciec Didon, Ojciec Montsabré, i cały poczet bojowników wystąpił do walki. Wszędzie zachowano miejsce odrębne dla samych mężczyzn, i wszędzie liczba tych miejsc okazała się niedostateczną — wszędzie było jak nabił.

Anarchiści i wolni mularze nie pozostali bezczynnymi wobec tego szturmu prowadzonego spokojnie, jasno i z całą siłą logiki i wymowy. Niedługo szukano odpowiedniej broni: stronnictwa te, które dziś nie przebierają w środkach do walki, uciekły się do dobrze znanego środka rewolucyjnego: do gwałtu i przemocy. Za danym rozkazem tłumy ludzi, którzy czekają tylko na połów w mętnej wodzie, pewni tą razą, że im to ujdzie bezkarnie, powpadały do kościołów Św. Merri i Ś-go Józefa, i tam gwałtem, krzykiem i kułakami, zmusiły kaznodziei i pobożnych do ustąpienia ze świątyń.

Na to sponiewieranie wszelkiej osobistej wolności udano się o ochronę do rządu. Odpowiedź nastąpiła uboczną drogą przez officyalne i nieofficyalne dzienniki. Aby uniknąć powrotu podobnych gwałtów, proboszczowie wszystkich parafii zostaną zaproszeni do zawieszenia tych religijnych konferencyi. Zawsze taższama sprawiedliwość i prawda. A jak prezes rady ministrów zapowiedział w Izbie, zamknięcie kościołów nastąpi niezwłocznie wszędzie, gdzie się poczną gwałty. A ponieważ gwałtownicy nie są ani ścigani, ani turbowani, wystarcza więc do zamknięcia kościoła wtargnięcie kilku zuchwalszych uliczników z zamiarem wywołania burdy.

Ale w społeczności naszej nie wolno bezkarnie opuszczać drogi prawdy i porządku. Żywioły anarchiczne zawsze są w pogotowiu wyłamać się z ręki, która je trzyma w rygorze. Widząc pobłażanie na tej drodze postanowiły natychmiast iść dalej — i Paryż głęboko zatrwożony i wzburzony został wybuchami bomb dynamitowych. Dotąd dzięki Bogu, chociaż powtórzone kilkakroć, zamachy te spowodowały jedynie zniszczenia materyalne i obeszło się bez ofiar w życiu ludzkiem. Ale wrażenie, obawa była wielka, a że, jak mówią, strach ma wielkie oczy, Paryżanie widzieli już blizką zagładę i gotowi byli na wszystkie ofiary. Na szczęście, policya czuwa, a pobudzona do działania, tak się zręcznie uwinęła, że w chwili, gdy to piszę — jeżeli można wierzyć dziennikom, główni sprawcy tych zamachów są już pod kluczem — i straszne widmo zniknie zprzed oczu. Spostrzeżono, że czas już położyć koniec swawoli; zabezpieczono też i kościoły od gwałtów.

Na lewym brzegu Sekwany, naprzeciw Luwru, wznosi się stary pałac kardynała Mazariniego. Zgrzybiały, zczerniały od czasu ze swoją środkową kopułą, pałac ten, przytłoczony do ziemi, olbrzymią wysokością domów i gmachów sąsiednich, ma raczej minę szpitala, niż budynku poświęconego muzom narodu francuzkiego, i w takim mieście jak Paryż.

(Dokończenie nastąpi).

HAJOTA.

NAD PRZEPAŚCIAMI

(Wrażenia z Gór Afrykańskich).

(Dalszy ciąg).

Ruszyliśmy więc prawdziwie pogrzebowym marszem i znacznie zmniejszoną karawaną. Nie było już obu żon Tioda, a wraz z niemi odeszło czterech naszych krumanów po wodę do rzeki Esse, gdyż z naczerpanych wczoraj rano zapasów dwie butelki tylko nam zostały. Ludzie ci mieli wróciwszy oczekiwać tu naszego powrotu z Piku i pilnować bagażu. Zostawialiśmy bowiem namiot, łóżka i inne skrzynie, zabierając tylko instrumenta i trochę żywności. Scott zapewnił najuroczyściej, że Pik już blizko, i za kilka godzin możemy być z powrotem w obozowisku.

Czas jakiś posuwaliśmy się po płaszczyźnie, brnąc w porosłych murawą moczarach lub przedzierając się przez owe karłowate laski, których rozwichrzone mchy muskały nam twarze i odzież wilgotną pieszczotą. Tiodo co kilkanaście kroków odcinał kotlasem małe gałązki i wraz z garstką mchu zawieszał je na drzewach, znacząc drogę.

I znowu zaczęliśmy się piąć po bystrej pochyłości na jeden z wierzchołków okalających pozostałą za nami kotlinę. Zostały również za nami mgły i chłód. Dobroczynne, wczesne słońce opłynęło nas złotą falą i wysuszyło zroszoną odzież. Wbrew przesądnej ponurości naszych przewodników byliśmy rzeźwi i weseli. Wszak zbliżaliśmy się do pożądanego celu.

W połowie góry Scott zatrzymał się i odwróciwszy się, w milczeniu ręką przed siebie wskazał. Spojrzeliśmy — i mimowolny okrzyk zachwytu wyrwał się z naszych piersi, a biedny Tiodo aż przykucnął na ziemi ze strachu.

Jeden z najwspanialszych widoków, jakie natura dać może, roztaczał się u naszych stóp.

W dali, szeroko, szeroko jak step błękitny białemi tumanami dymiący migotał w rannych blaskach wspaniały ocean, a na nim, jak na mappie, z dziwną ostrością konturów rysował się cały północny brzeg wyspy, zakończony na lewo długim cienkim jak językiem żmii przylądkiem *de los Frailes*, naprawo trzema czarnemi punkcikami odciętemi od lądu wąziuchnym srebrzystym paskiem spienionej fali. Były to owe trzy wysepki *Horacio*, koło których przepływaliśmy przed ośmiu dniami, dążąc do Basuali.

Przecudna, spokojna zatoka *Santa Isabel* uśmiechała się w oprawie skalistego wału *Punty Fernandy*, na którego bazaltowej, połyskującej w słońcu powierzchni można było prawie rozróżnić czarne arabeski oplatających go lianów. Zpoza białego dachu pontonu, rozpiętego jak namiot na tym wodnym stepie strzelała w górę smukła sylwetka hiszpańskiej kanonierki; a nieco dalej czernił się kadłub stojącego w porcie parowca, ku któremu od brzegu posuwała się karawana łodzi.

Dwa żaglowe statki, które jeszcze przy nas do portu z ładunkiem węgla dla wojennych okrętów przybyły, stały w głębi ze zwieszonemi żaglami, uzupełniając obraz tej morskiej osady. Nad nią, na wysokim brzegu, półkolem kredowych kostek świeciły rządowe domy miasta, które dachami tylko wynurzały się z zieleni swych ogródków. Od miasta ku nam rozlewała się szeroka płaszczyzna, a po jej jasnem tle biegła, łamiąc się kilkakrotnie, ciemna, puszysta linia. To sławna aleja mangusowa, przerzynająca kakaowe i tytuniowe pola naszej plantacyi. Widzimy ją dokładnie, rozróżniamy płowe w słońcu kwadraty tytoniu i majową zieloność kakao. Domu tylko, w czarniawym wieńcu palm i ceib ukrytego, nie widać.

Zato na prawo nieco wyżej błyszczy cynkowy dach. To plantacya naszych sąsiadów katolickich, hiszpańskich missyonarzy, a jeszcze wyżej, już w ciemnym tarasie lesistego amfiteatru, biały drobny punkt rządowego sanatoryum w górach, zwanego Basileh. To ostatni sztandar ludzkiego życia i cywilizacyjnej pracy. Dalej już tylko sama dzika lecz imponująca drabina przyrody pnie się ku nam tytanicznemi szczeblami porosłych gąszczem wzgórz, z których zrzadka, niby sęki wysterczają nagie wierzchołki... I nie wiadomo co więcej podziwiać, nad jaką tajemnicą przyrody bardziej się zadumać: czy nad tą, która drży w głębi pod uśmiechniętą powierzchnią oceanu, czy nad tą, która pierś ziemi rozpiera i ku niebu ją podnosi? Tu i tam zawsześ wielką i nieodgadnioną — Przyrodo!

Nasyciwszy wzrok cudną panoramą, przyczem Rogoziński zdjął teodolidem kilka ważniejszych punktów wyspy i brzegu, ruszyliśmy dalej.

Tym razem Tiodo nie zawiódł nas. Wydostawszy się na grzbiet góry, zobaczyliśmy przed sobą potężny szczyt, którego charakterystyczne kształty, a przedewszystkiem wyraźnie odznaczający się otwór wygasłego krateru, otulonego w dwa ścięte lejkowato boki góry, nie pozwalały wątpić, że nareszcie stoimy wobec Clarence Peaku!

Niestety! radość nasza była krótką. Kilkadziesiąt kroków dalej, i oto jesteśmy zmuszeni zatrzymać się nad krawędzią otwierającej się pomiędzy nim a nami ciemnej, zarosłej lasem, jak się zdawało, na pierwszy rzut oka niepodobnej do przebycia, otchłani.

Chwilę staliśmy w osłupieniu, patrząc na tę fatalną zaporę. Tiodo, giestykując, gorączkowo, cichym szeptem porozumiewał się ze Scott'em. Ten, zasępiony, z widoczną trudnością hamując wewnętrzne wzburzenie, zwrócił się ku nam: Tiodo znowu zabłądził, a raczej nie zna innej drogi. Wczoraj zobaczył Pik zdaleka i myślał, że się do niego dostanie: ale wszak sami widzimy, że to niepodobieństwo. Zresztą Tiodo właściwie spełnił swoje zadanie; miał nam pokazać Pik i pokazuje go nam. A teraz potrzeba wracać.

Parsknął śmiechem Rogoziński na tę bubiską sofistykę, ale zarazem stanowczo i krótko oznajmił Scottowi, że takich bredni słuchać nie ma czasu. Jeżeli Tiodo twierdzi, że tędy dojść nie można, więc niechaj szuka innego wejścia. Żeby pioruny z nieba biły, mając Pik przed oczami, dojść nań chcemy i dojdziemy.

Tego było zawiele dla kolorowego gentelmana — i wybuchnął: Nie! on nie jest dzikiem zwierzęciem i nie myśli dłużej błąkać się po gąszczach i przepaściach! Podarł już i tak w tej przeklętej wędrówce nowy piękny garnitur, który go 10 dolarów kosztował. (Nawiasem mówiąc, miał na sobie stare, perkalowe spodnie i marynarkę, która dawno zapomniała, jakiego była koloru). Niech się dzieje co chce, ale on dalej nie pójdzie. Woli stracić zapłatę, niż życie i t. d.

Tak wykrzykując dobrze podniesionym głosem, bo trwoga rzeczywistości wypłoszyła zeń obawę czegoś nadprzyrodzonego, zawrócił i szybkim krokiem puścił się po przebytej drodze, nie zważając na groźby i wołania Rogozińskiego.

Co do mnie, stałam podczas tej utarczki opodal, nie mieszając się do niej, lecz uchem chwytając każde słowo, boć tu o losy naszej wyprawy chodziło, a jednocześnie badałam wzrokiem otchłań. Czyżby w niej wszystkie nasze trudy i plany utonąć miały?

W miarę jak się w nią wpatrywałam, wydało mi się, że nie jest ona tak prostopadłą i bezdenną, jakeśmy zrazu sądzili. Zsuwając się wzrokiem po biegnących w dół wierzchołkach, zauważyłam, że o jakie paręset metrów podemną postrzępiona ta linia łamała się, stawała się mniej więcej poziomą i znowu podnosiła się ku górze. Tam więc pod tem załamaniem musiało być dno parowu. Skinęłam ręką na mego męża, aby mu to pokazać. Zrozumieliśmy się w jednej chwili. Rogoziński pochwycił za ramię Tioda, który zdradzał niekłamaną ochotę pójścia za przykładem Scotta i wskazując mu przepaść, dawał mu na migi do zrozumienia, że ma iść przodem. Wylękły i drżący bubis próbował się opierać. By się więc z nim nie mocować, mąż mój zwrócił się do krumanów rozkazując im siłą go w dół pociągnąć. Ale i tu nieszczególnie stała nasza sprawa.

Krumani, dotychczas tak dzielni, zdemoralizowani teraz ucieczką Scotta, nastraszeni jego tchórzowstwem stali niepewni — i już, już wybuchnąć mający bunt malował się w ich chmurnych twarzach.

Chwila była nad wyraz krytyczną.

Byliśmy dwoje na dziesięciu ludzi, którzy—wiedzieliśmy to dobrze — w obawie o własne życie gotowi będą podeptać wszelką subordynacyą i zbiedz, jeżeli im się zostawi czas do namysłu. Widząc to, chwyciłam się jedynego w takich razach środka: pseudo-niedbałej wesołości: „Jakto chłopcy!—rzekłam zwracając się do nich żartobliwie — wy tacy silni i odważni, a boicie się pójść gdzie wasza biała mami idzie!“

„To wstyd!—Patrzcie!“ i nie czekając na odpowiedź zsunęłam się pomiędzy pierwsze krzaki przepaści.

Środek poskutkował. W jednej chwili nieszczęsny Tiodo, pociągnięty przez dwóch krumanów, znalazł się przedemną w gąszczu.

Nie było tu ani śladu ścieżki i wkrótce dalsze spuszczanie się w dół zatamowała nam zupełnie dziewicza wegetacya. Trzeba się było uciec do kotlasów. Przez dwie godziny wyrąbywaliśmy się mozolnie krok za krokiem po gwałtownym spadku i równie bystrem wdzieraniu się pod górę z drugiej strony.

Nareszcie ostatnie uderzenie kotlasów, i wynurzamy się z gęstwiny tuż u samego podnóża piku. Tu nowy kłopot z bubisem. Zatrzymał się on z wyrazem niezłomnej stanowczości w swej pokiereszowanej twarzy i, wręczając mężowi memu swoję fuzyą a mnie kotlas, rozpaczliwą mimiką usiłował dać nam do zrozumienia, że możemy mu temi narzędziami odebrać życie, jeżeli taka będzie nasza wola, lecz, że żadna siła nie zmusi go wejść na szczyt z nami, ani nawet dłużej w sąsiedztwie tej straszliwej góry pozostać. My nawzajem, staraliśmy się wytłómaczyć mu, że nie chodzi nam bynajmniej o jego towarzystwo na piku, skoro ten mamy przed sobą jak na dłoni, niech tylko poczeka tutaj, aby nam powrotną drogę wskazywać. Zgodził się niby; lecz zanim jeszcze stanęliśmy na szczycie, ujrzeliśmy jak, nie dbając nawet o swoję fuzyą, najdroższy skarb bubisa, którą jeden z krumanów zabrał w zakład — skoczył w gąszcz i zniknął nam z oczu.

W danej chwili jednak ucieczka jego nie zrobiła na nas wrażenia. Clarence Peak opanował nas niepodzielnie. Stąpaliśmy po krawędzi jego krateru z oczyma utkwionemi w tę jamę niegdyś ogniem ziejącą, a dziś, jak zresztą cały szczyt, porosłą rzadką, krótką trawą, z której wyzierały drobne, delikatne kwiatki, coś nakształt macierzanki, niezapominajek i stokroci. Nie było tu żadnych wybojów, ani głazów, ten pik tak groźny dla oka z oddali przeobrażał się pod stopami w spokojne wzgórze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

W dosyć odległą przeszłość musimy się dzisiaj cofnąć; taka to już dola sprawozdawcy tygodniowego pisma, że zamiast kuć żelazo póki gorące, przynosi czytelnikom swoim wystygłych wrażeń wspomnienia i budzi dawno przebrzmiałe echa. Jednak jak w wielu razach tak i w kwestyach sztuki ma to swoję dobrą stronę, albowiem prawdziwe piękno zawsze się w jasnem świetle ukaże, i choćby miłem wspomnieniem swojem ducha odświeży; co zaś rzetelnej wartości nie posiada, to niewątpliwie przy chłodnem rozważaniu, przedstawi się w barwach nikłych i nieznacznych, dziwiąc nawet, iż w danej chwili mogło jaki taki budzić entuzyazm.

W szeregu rozmaitych uciech muzycznych, na brak których publiczność nasza nie może się uskarżać, występuje na tle poważnem, głębokiem, muzyka Szumanowska do dramatu Byrona „Manfred“. Dzieło to z wielką starannością i sumiennością wystawione na scenie Teatru Wielkiego, wprowadziło nas w krainę rzadko nawiedzaną, posępną acz wzniosłą, w krainę psychologii sięgającą aż do rdzennych ludzkiego bytu zagadnień. Do nas nie należy rozbiór poetycznej treści „Manfreda“ mało zresztą dla ogółu przystępnej i nawiasowo tylko nasuwa się myśl: czy Schumann, muzyk niepospolity, potęgą dźwięków illustrując potężne słowa wielkiego poety, przystępniejszem uczynił ich znaczenie? Wedle powszechnych mniemań muzyka jest mową dla wszystkich zrozumiałą; rzeczywiście różnorodne uczucia: tęsknota, wzburzenie, smutek, niepokój, zarówno jak pogodne nastroje duszy, znajdują w niej całą skalę najdelikatniejszych odcieni; wszelako inaczej się ma, gdy pierwiastek już nietylko uczuciowy, lecz myślicielski, głęboko filozoficzny szuka w muzyce swojego wyrazu. Jeżeli przypomnimy sobie, że niemal wszystkie płody natchnień Schumanna, począwszy od symfonii aż do niektórych pieśni, nacechowane są reflexyą, ciągłem jakoby wpatrywaniem się w głąb' własnego *ja*, jeżeli przypomnimy te dźwięki, które częstokroć nakształt fraz tajemniczych, pytających, wyrywają się z duszy kompozytora, wówczas łatwo nam będzie odtworzyć sobie ogólny charakter muzycznej illustracyi do bajronowskiego dramatu, i, zaiste, ze względu na pewne duchowe powinowactwo muzyka z poetą, na pokrewny im obu pessymizm i melancholią, nie mogło być lepszego, doskonalszego zespolenia. Środki wykonawcze, zewnętrzne, nie zawsze z jednaką mocą dopisywały Schumannowi. Może być, iż nam, przywykłym do kolosalnych effektów instrumentalnych, do nieokiełznanej wagnerowskiej fantazyi, nie wystarczają środki, jakiemi Schumann rozporządzał; iż za blademi wydają nam się one w porównaniu z potężnem wrażeniem, jakie dramat Byrona wywołuje. Lecz, uwzględniwszy brak silnych pomysłów i kolorytu, brak niekiedy odpowiedniej do dramatu siły wyrazu, odnajdziemy zawsze w tej muzyce, wiele piękności, wiele głębokiego artyzmu i podniosłych idei (Uwertura), jakoteż poezyi wypowiadającej się tonami posiadającemi niemal czar zaziemski (*np.* Ustęp orkiestralny w akcie II-im, w chwili ukazania się królowej Alp). Przedstawienie Manfreda, jak się rzekło wyżej, bardzo staranne, było nowością dla naszego miasta, zainteressowało szersze koła, zwracając niejednę myśl ku źródłom poezyi, mało pogłębianej w dzisiejszych realistycznych czasach.

Miłego bardzo gościa mieliśmy w osobie młodziutkiej panny Antoniny Trebelli, której śpiew rozbrzmiewał w kilku koncertach, słuchany ze wzrastającem zawsze upodobaniem. Głównym przymiotem młodej artystki, przymiotem dla wszystkich pono śpiewaków i po wszechczasy najcenniejszym, jest głos świeży, jasny, srebrzysty,

który bez wysiłku i sztuczności z całą młodzieńczą swobodą z jej piersi płynie. Obok tego wrodzona bystrość, zapał i wpływy znakomitej szkoły, już naznaczyły śpiew panny Trebelli piętnem artyzmu. Widnieje on zarówno w wykonaniu wielkich operowych aryi, gdzie cantabile płynie szerszą falą lub koloratura perlistych dźwięków rozbryzguje kaskadą, jak w wykonaniu pieśni, których główną wymową serdeczne uczucie. Naturalnie, sąd surowy odnajdzie jeszcze w tym śpiewie pewne usterki, lecz te są drobnostką wobec zalet niepospolitych, na zasadzie których można młodej adeptce sztuki wokalnej wróżyć rozgłośną sławę. Sprawdza się tu przysłowie, że jabłko niedaleko pada od jabłoni; panna A. Trebelli bowiem jest córką Trebelli-Bettini, znakomitej europejskiej śpiewaczki.

Dwa większe wieczory Towarzystwa Muzycznego świetnie się powiodły, dzięki tej nowej artystycznej gwiazdce oraz innym niepoślednim wykonawcom starannych programatów. Najpierw tedy usłyszeliśmy w śpiewie p. Trebelli: Walca z Op. „Romeo i Julia“ Gounoda, Aryę z Op. „Semiramis“ Rossiniego, „Biondinę“ Gounoda i waryacye Rodego, a nad program śliczną Cavatinę z Op. „Bal maskowy“ Verdiego. Na tymże wieczorze przedstawicielką fortepianu była panna Stanisława Sułkowska. Pokaźny zasób techniki, wielka czystość i bardzo miłe uderzenie, wraz z wykończeniem starannem, składają się na grę, której z przyjemnością się słucha w interpretacyi dzieł wybranych odpowiednio do siły artystki; brak siły bowiem i gorącej werwy stanowi stronę ujemną, która, niestety, usilną pracą nieda się przeistoczyć. Panna Sułkowska odegrała Waryacye Schuberta, sonatę Scarlattiego, „Noc wiosenną“ Schumanna, Barcarollę A moll Rubinsteina i Walca Straussa-Tausiga. Kilka utworów mianowicie: Poppera, Schumanna i Grenfelda rozbrzmiało na wiolonczeli pod ręką panny Lucy Campbell, znanej już przez publikę naszą artystki. Następny większy wieczór Towarzystwa Muzycznego zaznaczył się znowu tryumfem panny Trebelli, która tym razem ofiarowała swym słuchaczom aryą z „Fausta“, aryą z „Dinorah“, „La Calandrina“ Jomellego, „Dolce un pensiero“ Puggiego i Pieśń „Vilanella“ del Acchua. Pani Hochendlinger dostały się w udziele sute oklaski za wykonanie Ballady G moll Szopena, Valce-Impromptu i Rapsodyi N-r 11 Liszta. Panna Campbell zaś przyłączyła do programu koncertu arcy-uczuciowe acz mdławe nieco tony swej wiolonczelli w kilku mniejszych kompozycyach Dawydowa i Poppera. Już tylko dla ścisłości, przelotnie wspomnimy wcześniejszy znacznie, bo aż z dnia 6-go Marca, koncert na Osady Rolne, w którym udział przyjęły panie: Trebelli, Campbell i Librecht; pomimo artystycznej ponęty, koncert ten pod względem materyalnym w skromnym bardzo stopniu odpowiedział szlachetnemu swojemu celowi: pusta w połowie ratuszowa sala nieledwie chłodem przejmowała i słuchaczów nielicznych i artystki, które tak ochoczo talent swój złożyły w ofierze.

Bardzo interessującym ze względu na popis młodocianej orkiestry był mniejszy wieczór Towarzystwa Muzycznego, urządzony staraniem p. Münchheimera, który jest nauczycielem i kierownikiem owej orkiestry z widocznym postępem kształcącej się pod jego wytrawną batutą. Wykonanie takich dzieł, jak Symfonia „Oxford“ Haydna, Uwertura z Op. „Anakreon“ Cherubiniego jest dowodem pracy poważnej, nie zaś igraszek, przyjemnego jedynie passe-temps ku czemu, niestety, zazwyczaj zbiorowe siły amatorskie dążą najszybcej. Wieczorek urozmaicony był śpiewem pana Landau i grą na waltorni p. Malinowskiego (prof. konserwatoryum), który dał nam poznać „Nocturno“ ostatnią bardzo udatną kompozycyą p. Münchheimera.

Do bardzo sympatycznych należał koncert zorganizowany przez Zygmunta Noskowskiego na korzyść złożonego ciężką niemocą Klemensa Junoszy. Tym razem miejscowi tylko, lecz najcelniejsi artyści pośpieszyli w szlachetnej sprawie z daniną swojego talentu. A więc przedewszystkiem pp. Michałowski i Barcewicz, panna Kwiecińska, oprócz tego podwójny kwartet „Lutni“, chóry Towarzystwa Muzycznego, pan Cynk wiolonczelista i pan Zejdowski deklamator. Pochwały same cisną się pod pióro, gdy mówić przychodzi o dwóch naszych znamienitych wirtuozach; publiczność zna tak dobrze Michałowskiego i Barcewicza, a zawsze świeży i jednaki posiadają dla niej urok, i nigdy dostatecznie ich grą nasycić się nie może; oklaski, bisowania, są najwymowniejszym dowodem zachwytów i sympatyi, na które artyści odpowiadają zawsze sutym nadprogramowym datkiem. Panna Kwiecińska, śpiewaczka, także coraz więcej zaskarbia sobie zasłużonej sympatyi. Głos jej dźwięczny szczególniej się nadaje do kompozycyi pełnych słodkiego wdzięku i uczucia. Ślicznie zatem odśpiewaną była „Posyłka“ Żeleńskiego i Walczyk Noskowskiego „Pocałunek,“ jak również solowa partya w „Grajku wędrownym“ (solo i chóry) Noskowskiego. „Lutnia“, z łona swego stowarzyszenia wybrawszy doskonałych przedstawicieli, dała trzy kwartety, a p. Cynk odegrał na wiolonczelli bardzo starannie parę utworów, niestety, dość banalnych, jak wogóle wszystkie, co zasilają ubogi ten dział literatury muzycznej. Monolog „Niepocieszony Wojtek“ Klemensa Junoszy, wypowiedziany przez p. Zejdowskiego, dopełnił programu.

W odstępie dwutygodniowym odbyły się dwa wieczory kameralne konserwatoryum z seryi 2-ej. Zwykły doborowy personel p. p. Barcewicz, Stiller, Jakowski i Cynk, wykonał kwartety: Haydna Op. 76, D moll i Beethovena Op. 95, F moll. W fortepianowym kwintecie Schumanna Op. 44, Es dur partyą fortepianową reprezentował p. Böhm, o ile można było z tej jednej produkcyi sądzić, artysta średniej miary. To też słuchacze następnego wieczoru czuli się więcej zadowolonymi, gdy do fortepianu zasiadł p. Michałowski, tworząc w Sonacie Raffa (Op. 78, A dur) wyśmienity duet z p. Barcewiczem. Oprócz tej Sonaty wykonano kwartety smyczkowe: Mozarta (N-r 28, F dur) i Mendelssohna (Op. 43, N-r 3 Es dur).

Zawiesimy na chwilę pogawędkę o koncertach, by przepleść ją sprawozdaniem ze sceny opery naszej, gdzie powtórnie mieliśmy sposobność usłyszeć pannę Lantes i p. Prevost, tym razem w operze „Hugonoci“. Szerokie tam pole popisu dla artystów; są tam rzec-by można skaliste trudne do przebycia wyżyny, z których niejeden się stoczył próbując siły swojej; to też z uwagą śledziliśmy o ile wytrwałość głosu i naprężenie uczuć dramatycznych wystarczą przedstawicielom głównych partyi, i przyznać trzeba, że zarówno p. Lantes jak i pan Prevost bardzo ładnie wywiązali się z zadania. Śpiewaczka w roli Walentyny chwilami nawet porywała prawdą uczucia i siłą akcentów w których głos jej do sztucznego forsowania uciekać się nie potrzebuje. Pan Prevost lubi effekty, ale, estetyce nie uchybiając, tylko od czasu do czasu niemi szafuje przy popisowych wyższych nutach, aktorem zaś jest wybornym, co także ogromnie wpływa na ogólne powodzenie. W „Rigoletto“ debiutowała u nas panna Anna Malinowska; tak, debiutem jedynie nazwać można występ młodej śpiewaczki, która jeszcze nie zdołała sobie przyswoić wszystkich składających się na rzeczywisty artyzm przymiotów. Obecnie możemy tylko cenić wcale nie zły materyał głosowy o dość obszernej skali, podatny do koloratury, lecz wyrobienie dużo jeszcze do życzenia pozostawia, znamionując krótkie, może nawet dorywcze, studya. W przyszłości więc dopiero stanowcze zdanie na korzyść lub niekorzyść przeważy; teraz tylko słowo szczerej zachęty do pracy można sumiennie wypowiedzieć.

Powracając znowu w dziedzinę koncertów, zaznaczymy trzeci tegoroczny koncert „Lutni“, który pomimo istnej temi czasy powodzi estradowych rozkoszy zgromadził bardzo liczną publiczność. Współudział przyjęli: pani Krzyżanowska śpiewaczka amatorka, i p. Barcewicz. Rozbrzmiały tedy redutowe sale, najpierw całym szeregiem ludowych melodyi, w opracowaniu Maszyńskiego, Niedzielskiego lub Polińskiego. Miłe te melodye a łatwo wpadające w ucho, zarówno jak i inne lżejszej treści kompozycyj z repertoaru „Lutni“ mają dar wywoływania entuzyazmu bez granic. A że pono *vox populi vox Dei*, czyliż wolno jednostkom oświadczać się za utworami w rodzaju nieco odmiennym, za utworami, które cechuje myśl głębsza, ujęta w poważniejsze, prawdziwie artystyczne zarysy, jak np. „Morze“, Wł. Żeleńskiego, które dla nas perłą było w otoczeniu dosyć nieodpowiedniem? W pierwszej części programu p. Barcewiczowi głównie zawdzięczamy podniosłe wrażenia jakich łaknąć powinien każdy rzeczywisty miłośnik sztuki. Wirtuoz nasz cudnie odegrał: Rondo capriccioso Saint-Saënsa, Melodyą Paderewskiego (w układzie własnym), Tańce hiszpańskie i „Zapateado“ Sarassatego, oraz kilka nadprogramowych numerów, a wszystko to było jakgdyby uskrzydleniem, porywem ducha w sfery wyższe, godne miana artyzmu. Druga część koncertu utrzymała słuchaczy w tymże nastroju szlachetnym, zawierała bowiem piękne „Requiem“ Verhulst'a, na głos solowy (p. Niedzielski) chór męzki, organ, dęte instrumenta i kontrabasy. Wykonaniu zarzucić nic nie można, było ono nawet o wiele doskonalszem, wypracowanem staranniej w porównaniu z interpretacyą tegożsamego dzieła na jednym z zeszłorocznych występów „Lutni“.

Jeszcze parę koncertów i jeszcze spora wiązanka wrażeń, mogących szczere zajęcie obudzić w naszych czytelnikach. Dnia 28 Marca mieliśmy wielki koncert na dochód Instytutu Muzycznego. Złożyły się nań: Część II-ga Oratoryum Rubinsteina „Raj utracony“ (głosy solowe, chóry Instytutu i orkiestra Teatru Wielkiego), Uwertura z Op. „Egmont“ Beethovena, wykonane przez orkiestrę Teatru Wielkiego oraz występy dwóch artystek, z których jedna stoi u wrót sławy niepospolitej, druga cieszy się oddawna już zdobytemi laurami.

Panna Zofia Poznańska, fortepianistka, uczennica Rubinsteina, wkraczając w świat artystyczny z iskrą bożą w piersi, zadziwia już stopniem rozwoju wirtuozowskiego, który tak wcześnie osiągnąć zdołała. Mówiąc o niej, bez namysłu nazwiemy ją wybranką Muzy, bo domaga się tego jej niezwykły talent, zapał, bystra intelligencya artystyczna i wyrobienie ręki pod wielu względami niemal doskonałe; ale odpowiednio do świetnych danych i skala wymagań wzrasta! Przeto występując ze stanowiska krytycznego, nie możemy poddawać się bezgranicznemu entuzyazmowi, który częstokroć sąd omracza, zacierając wszelkie różnice pomiędzy wschodzącą dopiero artystyczną gwiazdą a promienniejszemi, wspanialszemi jej siostrzycami. U panny Poznańskiej razi przedewszystkiem brak siły, ztąd uderzenie jej ostre, mało elastyczne, przytem niedość głębokie i przecinające dłuższy rozdźwięk tonu natychmiast po jego wydobyciu; pewne zaś drobne niedokładności techniki, na które u wirtuozów niższego nastroju możeby się nie zwróciło uwagi, tutaj dostrzegać się dają w zestawieniu z wielkiemi przymiotami tejże techniki. Słyszeliśmy pannę Poznańską dwa razy: na koncercie Instytutu Muzycznego i w Towarzystwie Muzycznem. Wirtuozka dała nam szereg dzieł różnorodnych, a wszystkie nacechowane piętnem znakomitych kompozytorów: Koncert D minor Rubinsteina, Waryacye S dur Czajkowskiego, Berceu'se, Polonez, Sonatę H moll Szopena, Serenadę i Gavot Bacha, 32 Variations Beethovena, Barkarollę Rubinsteina, Poloneza Liszta, nie licząc już nadprogramowych numerów, które artystyczny jej repertoar w szlachetnem ze wszech miar ukazują świetle. Wyróżniały się głównie świetnością wykonania Waryacye Czajkowskiego, Waryacye Beethovena, Romans Schumanna i Sonata Szopena, wystudyowana con amore. Wogóle odczucie ducha kompozytorów świadczy o naturze bogatej, pełnej zapału, aczkolwiek zostającej dotąd pod wpływem bezwzględnym znakomitych kierowników, i to nie dozwala nam o duchowej samodzielności artystki wyrzec ostatniego słowa. Pani Brajninowa, śpiewaczka słyszana również dwa razy na tychżesamych dwóch koncertach, dotąd piękny głos posiada i umie przymioty jego w odpowiednich utworach uwydatnić, ale znużenie pewne już objawia się w oddechu zaciężko branym i forsowności. Z wykonanych dzieł najmniej zadowolniły nas pieśni, zwłaszcza „M'ama non m'ama“ Mascagniego, cacko tak ślicznie rzeźbione przez Etelkę Gerstner; najwięcej zachwytu obudziło odśpiewanie: „Musica proibita“ Gostoldona,

Oprócz produkcyi znakomitych artystek usłyszeliśmy w Towarzystwie Muzycznem: „Grajka wędrownego“ Noskowskiego.

Juljusz Stattler.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu będą otwarte wkrótce kursa praktycznego warzywnictwa i sadownictwa oraz zwołanym zostanie zjazd sadowników.

— Na przyszłej wystawie pożarowej w Petersburgu będzie wystawiony chełm ochronny dla straży ogniowej, wyrobiony z gliny. Wystawcą jest J. Brudhammer.

— Zawiązało się w Petersburgu nowe towarzystwo elektrotechników. Ustawa Towarzystwa jest już wypracowana przez założycieli i przedstawiona do zatwierdzenia władzy.

— Budowa wież na kościele Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim rozpocznie się zaraz po świętach wielkanocnych pod kierunkiem budowniczego p. Zygmunta Kiślańskiego. Komitet budowy nie posiada jeszcze dostatecznego funduszu, ale trzeba w to wierzyć, że grosz potrzebny tu zbierze się w ciągu budowy.

— Zapowiedziany odczyt na rzecz Osad Rolnych p. Suligowskiego o Powiślu nie przyszedł do skutku.

— W pismach warszawskich ogłoszoną została odezwa, wzywająca rodziców niezamożnych dzieci słabowitych, aby w terminie oznaczonym zgromadzili się w lecznicy I-ej przy ulicy Niecałej, gdzie otrzymają informacyę, na jakich warunkach wspomniane dzieci wysyłane być mogą na kolonie letnie. Badaniem dzieci zajmą się lekarze: Dr Dobrska, Kosmowski, St. Markiewicz i Ant. Natanson; około 15 czerwca nastąpi oglądanie dzieci, które odzieży od komitetu nie otrzymają.

— Towarzystwo Jedwabnicze rozesłało w miesiącu ubiegłym wszystkim nauczycielom miejskim, prócz okolic lubelskich i siedleckich, gdzie to już nastąpiło w roku zeszłym, nasienie morwy białej (po $^1/_3$ łuta) wraz z instrukcyą, która wykazuje, że z zasiewu tej ilości nasienia można otrzymać 1,000 płonek morwowych. Pragnąc, aby rozwój jedwabnictwa, jako jednej z bardzo pożytecznych gałęzi przemysłu wiejskiego, rozwijał się pomyślnie, Towarzystwo postanowiło ogłosić na rok 1895 konkurs, w warunkach: 1) Kto z 1932 nauczycieli wiejskich, obdarzonych obecnie nasieniem morwy, okaże po trzech latach, to jest 1895 r. najliczniejszą i najlepiej hodowaną szkółkę morwy, otrzyma nagrody rs. 50. Prócz tej ogólnej nagrody dla nauczycieli wszystkich okolic, otrzyma rs. 10 nagrody każdy zpośród tych nauczycieli, który wyhoduje najliczniejszą i najstaranniej prowadzoną szkółkę. Nauczycielom, chcącym wziąć udział w konkursie zgłosić się należy do Zarządu Towarzystwa: Nowy-Świat Nr 41.

— W Radomiu zawiązała się spółka z zamiarem otworzenia tam szkoły ogrodniczej, z kursem czteroletnim i programatem podobnym, jak w szkole częstochowskiej p. Zawady. Tu stanie na czele p. Perkowski, dyrektor fabryki konserwów z jarzyn.

— Plan robót regulacyjnych Wisły pod Warszawą mieści uwagę, aby wybrzeża rzeki były o ile można najstaranniej zadrzewione. Zostanie też zadrzewionem wybrzeże wzdłuż parku na Pradze, obok Wilczej Wyspy, równie jak wybrzeże Saskiej Kępy i łąki siekierkowskie. Sadzone tu będą najpierw wierzby, następnie gdy warunki potrzebne go umocowania gruntu okażą się pomyślne, topole nadwiślańskie i inne podobne drzew gatunki. Bulwary Wisły zyskają tu wielką ozdobę.

— Z powodu wystaw artystycznych, jakie w Maju otworzyć się mają, panuje wielki ruch w pracowniach naszych malarzy. Do salonu Krywulta przybyło wiele nowych obrazów a między niemi trzy Siemiradzkiego: „Pokusy Ś-go Hieromina,“ „Powrót z uczty Bachusa,“ „Z pociechą i pomocą.“ Obrazy te znajdowały się na wystawie w Berlinie.

— Andriolli wykonał olbrzymich rozmiarów obraz religijny, przedstawiający „Złożenie Chrystusa do grobu“ przeznaczony do Kowna Obraz ten przedstawia postać Chrystusa podwójnej wielkości naturalnej i stanowić będzie tło dekoracyjne dla grobu Pańskiego, który w kościele karczewskim będzie bardzo artystycznie urządzony w tym roku, mieszcząc się w kaplicy, gdzie przed wspomnianym obrazem wzniesione będą sztuczne skały, a wśród tego pomieszczone zostaną rośliny, naśladujące krajobraz wschodni. Cztery lampy z reflektorami oświecać to będą.

— Artysta nasz, Franciszek Krudowski, przebywający w Rzymie, wykonał trzy obrazy do tamtejszego kościoła naszego świętego, Jana Kantego. Obraz, przeznaczony do wielkiego ołtarza, przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, ukazującą się jako królowa Niebios, w dole bardzo piękna grupa Świętych: Św. Wojciecha, Św. Stanisława biskupa, Św. Stanisława Kostkę i Św. Kazimierza. Drugi obraz przedstawia Pana Jezusa w ogrodzie Oliwnym, trzeci Św. Karola Boromeusza.

— Jedyne u nas pismo z zakresu nauk przyrodniczych „Wszechświat“ ukończyło dziesięć lat istnienia i dla uświetnienia tej rocznicy wyszedł osobny jego numer, poświęcony obrazowi nauk ścisłych u nas w ubiegłym lat dziesiątku. Redakcya odzywa się tu do czytającej publiczności wykazując, o ile pismo w tym zakresie wiedzy może szerzyć potrzebne, pożyteczne dla ogółu wiadomości, nie walcząc przecież przeciwko temu, czego nauka prawdziwa nie wyzywa nigdy do walki—nigdy się na nią nie porywa „Wszechświat“ liczył więcej niżeli 200 współpracowników a między niemi znajdują się: Chałubiński, Cieńkowski, Domeyko, Dziewulski, Jędrzejewicz, Kopernicki, Szokalski, Taczanowski, więc nasze powagi naukowe w danym kierunku. Redaktorem jest Br. Znatowicz, wydawcą A. Ślosarski, komitet redakcyjny składają: I. Aleksandrowicz, K. Deike, S. Dickstein, H. Hoyer, K. Jurkiewicz, Wł. Kwietniewski, S. Kramsztyk, I. Natanson, St. Praus, I. Stolcman, W. Wróblewski.

— Gospoda szewcka, mieszcząca się przy ulicy Długiej, Nr 29, mieści obok starych i bardzo ciekawych aktów i ksiąg protokularnych, sięgających XV-go wieku, wiele szacownych pamiątek „gospodnich.“ Do najbardziej zajmujących zaliczyć trzeba miedzianą ladę czeladniczą z XIII-go wieku w kształcie buta w oszklonej szafce, puhar cynowy z epoki pruskiej, znak cechu w kształcie tarczy, noszony niegdyś za processyą Bożego Ciała przez starszego czeladnika „ojca gospody,“ wreszcie obraz patrona szewców, Św. Jacka, odbity złotem na białym atłasie. W sali magistratu przechowuje się obok nowej i stara chorągiew cechu misternie haftowana.

— Z Krakowa donoszą, iż dwa odczyty Zenona Przesmyckiego (Miriam), o dekantyzmie i symbolizmie w literaturze francuzkiej, zajęły intelligentne sfery miasta.

— Hr. Przezdziecki Konstanty nabył bibliotekę i zbiory prof. uniwersytetu J. Łepkowskiego i darował je gabinetowi archeologicznemu przy Uniwersytecie Krakowskim, założonemu przez Łepkowskiego. W gabinecie tym są już sale ze zbiorami ś. p. hr. Przezdzieckiego Alexandra, które nowy dar powiększy. Kuratorya nad zbiorami temi zostaje na wieczne czasy przy rodzinie hr. Przezdzieckich.

— Biblioteka jagielońska liczyła z końcem 1891 r. 209.394 dzieł w 277.446 tomach; 1.698 atlasów i kart geograficznych. Zbiór monet wynosił 9.448 sztuk, zbiór rycin 7.639 numerów, zbiór muzykalii 1.612. Bibliotece, mieszczącej takie zbiory, brakuje czytelni, w której możnaby wygodnie robić zapiski. W roku ubiegłym 3.407 osób żądało w czytelni książek, w ogóle czytano dzieł 10.000. Wypożyczono książek 7.000 w 15.000 tomach, z tych do Wiednia, Pragi, Pesztu i Lwowa przeszło dzieł 160. W r. z. zwiedziło bibliotekę 1.921 osób.

— Fundacya imienia Duchińskiego rozpoczęła działać z d. 5-ym b. m. Namiestnictwo zatwierdziło utworzenie 20 stypendyów po 150 złr. dla młodzieży rzemieślniczej.

— Polepszenie bytu nauczycieli ludowych w Galicyi, kosztem 200.000 złr. było przedmiotem dyskusyi w sejmie, wśród której prof. Antonowicz postawił wniosek, aby rada szkolna nie stawiała im przeszkód w zajmowaniu się rolą. Hr. Wojciech Dzieduszycki zbijał zarzuty, czynione nauczycielom, jakoby ci odstręczali młodzież wiejską od wsi i roli, co jest nie skutkiem złej woli, ale koniecznym wypływem położenia, gdyż wychowanie ich i kształcenie odbywa się w mieście i tylko wtedy możnaby uzyskać prawdziwie użytecznych i dobrze lud wiejski kształcących nauczycieli, gdyby zaprowadzono seminarya po wsiach z internatem. Gmachy szkolne po wsiach różnią się ogromnie od mieszkań ludu, gdy powinny być im one wzorem do naśladowania.

— Wychodźtwo ludu Górnego Szlązka na roboty do Saxonii, jest uważane na miejscu za rzecz wielce szkodliwie działającą na moralność, jak też było i być musi niewątpliwie, jakkolwiek księża usiłowali tu oddziaływać na tak zwanych „obieżysasów.“ Wychodziły tu tłumnie i dziewczęta, lecz oto zawiązało się Towarzystwo pod wezwaniem Św. Izydora, patrona rolników, zawiązane głównie przez plebanów, którzy przystępując do niego licznie, mogą wywierać wpływ znaczny. Pierwszym obowiązkiem członków Towarzystwa jest śledzić agentów, wyprowadzających lud na tę wędrówkę przez namowy i obietnice wielkich zysków. Obecnie każda umowa musi wyszczególnić odległość miejsca, gdzie ma przebywać najmita od kościoła jego wyznania, obok czego pracodawca musi się zgodzić na to, aby wolno było najmitom słuchać w każde święto i niedziele nabożeństwa i kazania. Fałsz w oznaczeniu odległości miejsca, gdzie robotnicy się udają, czyni kontrakt nieważnym, jest tak i co do innych warunków umowy, czego Towarzystwo pilnuje, stara się ono również o dostarczanie wychodźcom uczciwych książek w rodowitym języku. Może nie wpłynie to na zmniejszenie emigracyi, ale umoralnią się jej warunki a opieka dająca ludowi poparcie nie dozwoli na wyzysk. Katoliccy księża Saxonii jednoczą się tu z usiłowaniami Towarzystwa Św. Izydora i czuwają nad Szlązakami troskliwie, pomagając im w potrzebie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego; i „Ogłoszenie sezonowe“ Magazynu Nowości Bogusława Herse.

TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa.—**Idea w wychowaniu.**—**Pierzchliwy ptak**, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg).—**Nowiny paryzkie.**—**Hajota. Nad przepaściami** (wrażenia z gór Afrykańskich) (dalszy ciąg). — **Ruch muzyczny** przez Juliusza Stattlera.—**Z bieżącej chwili.**—**Ogłoszenia.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład niemieckiego. Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою. — Варшава, 1 Апрѣля 1892 г.

Płaszczyk z czarnej koronki, podszyty materyałem jedwabnym koloru zielonego.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 14.

Przybranie z aksamitu czarnego i ozdobami z dżetu. Plecy wcinane. Fałda „Watteau“ przytrzymana podłużną trójkanciastą figurą z aksamitu zachodzącą w górze ku części przedniej. Pasek aksamitny umieszczony pół fałdami tylnemi i przedniemi, tworzy klapki na biodrach. Figura trójkanciasta i klapki zakończone wieszadełkami pasmanteryjnemi z dżetu. Rękawy bufiaste z mankietami aksamitnymi. Kołnierz stojący z aksamitu otoczony riuszą z koronki. Spódnica z mory jedwabnej koloru zielonego, ozdobiona wstawkami haftowanemi. Kapelusz z dżetu ozdobiony egretą czarną i tegoż koloru piórem. Rękawiczki jasne duńskie. Materyał potrzebny; 5 m. materyału jedwabnego, 8 m. szer. falbany, 2 metr. węższej falb. koronkowej i koronki odpowiednio dobranej 2 metr. 50 cent. szerok. na 70 cent., 1 metr 25 cent. aksamitu, 5 figur z dżetu.

Suknia krojem „princesse.“

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 14.

Suknia z materyału jedwabnego „pékin“ w pasy czarne i lila, ozdobiona koronką irlandzką położoną na podkładzie koloru lila. Plecy i boczki skrajane ukośnie dla nadania odpowiedniej szerokości spódnicy. Przód otwarty w ukos na podkładzie skrajanym podług nitki prostej, przymocowanym do obydwóch przednich boków. Zaszewki stanika zwyczajne, oraz zaszewki z boku. Podszewka stanika spięta na przodzie. Stanik wycięty w rodzaju koszulki z materyału lila, przyszytej do podszewki i ozdobiony podług ryc. koronką, która również zdobi plecy. Kołnierz stojący z koronki marszczonej na podstawie z materyału lila. Rękawy obcisłe skrajane ukośnie w górnej części bufiaste, dolna część ozdobiona riuszą. Kapelusz z czarnej włosienicy ozdobiony girlandą z kwiatków wiosennych żółtych i bzem koloru lila. Egreta z piór czarnych. Rękawiczki kozłowe koloru perłowego.

Płaszczyk od kurzu z beżu.

Rycina Nr 5 i 17 w Bl. Nr 14. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 12—19).

Skrajać z beżu koloru piaskowego po dopełnieniu złożenia fig. 19 i przydłużeniu w kierunku strzałki stosownie do potrzeby fig. 13, 14, 16 i 17. Fig. 12—14 i 16 po dwie części. Fig. 13 z uwzględnieniem konturu lewego przedniego brzegu. Podług fig. 15, 17 i 18 po jednej części złożonej wzdłuż środka, ale fig. 17 podług ukośnej nitki a fig. 12, 15 i 18 z materyału podłużnie złożonego, podług fig. 19 rękawy, z uwzględnieniem wystających konturów spodnich części. Przednie części zaopatrzyć pod spodem podkładem i beżem na 12 cent. szerok., od 22 do 23 przyszyć do karczka; plecy połączyć z fałdą „Vatteau“ od 28 do 29, umocować w górze † na kropce, przyszyć od 25 do 23 do tylnej części karczka i zeszyć podług cyfr fig. 12—16. Wszyć kołnierzyk zaopatrzony podkładem, zaopatrzyć karczek w haftki do zapinania, oraz wykonać dziurki w prawej zachodzącej przedniej części, a do lewej odpowiednie przyszyć guziki. W pasie dla uwydatnienia figury przyszyć wstążkę do wiązania. Rękawy zeszyć, zmarszczyć w górze od * do* i wszyć w pachę, trafiając w 36 na 36.

Nr 7. Tylna część sukni dla panienki od 8—10 lat do ryc. Nr 26.

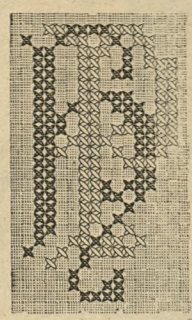

Nr 5. Monogram.

Nr 6. Tylna część sukni Nr 28.

Paltocik z aksamitu ozdobiony koronką.

Rycna Nr 6 i 1 w Bl. Nr 14.

Paltot z aksamitu koloru czarnego, zaopatrzony podszewką z atłasu. Części przednie wyłożone i pokryte repsem jedwabnym. Części tylne przybrane pasmanteryą z jedwabnego sznureczka, oraz długimi końcami z repsowej wstążki. Szeroka marszczona koronka otacza dolny brzeg krótkiego rękawa. Co do kroju zastosować się do fig. 40—43 a rękawy do fig. 19 tejże tablicy, ale należy takowe skrócić według potrzeby.

Pelerynka z materyału jedwabnego mieniącego, ozdobiona koronką gipiurową.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 14.

Peleryna z materyału jedwabnego mienionego. Falbana 30 cent. szer. w fałdy zaprasowane ułożone, przyszyta do karczka 25 cent. szerok. a 110 cent. obwodu. Falbana z białej gipiury, riusza z materyału jedwabnego i kokardy z czarnej aksamitnej wstążki z długiemi końcami z tyłu i z przodu wykończają całość.

Nr 3. Płaszczyk pół długi z sukna ozdobiony haftem (do ryc. Nr 1).

Nr 4. Suknia z kaszmiru ozdobiona haftem z perełek metalowych (do ryc. Nr 20 w Bl. Nr 16). Opis odwr. str. tabl.

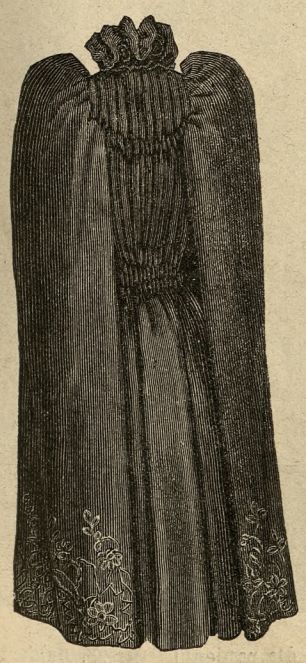

Nr 1. Tylna część płaszczyka Nr 3.

Nr 2. Tylna część sukni Nr 30.

Paltot z materyału jedwabnego ozdobiony haftem.

Rycina Nr 8 i 12 w Bl. Nr 14. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 40—44).

Paltot wcięty do figury z czarnego jedwabnego materyału, zaopatrzony podszewką jedwabną i ozdobiony podług ryc. haftem maszynowym. Po przydłużeniu stosownie do potrzeby w kierunku strzałki fig. **40—43** skrajać takowe po dwie części a podług fig. **44** po dopełnieniu złożenia rękawy. Przednie części obłożyć na kilka cent. po za linią zgięcia materyą jedwabną haftowaną. Wykonać zaszewki, zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. Po wyłożeniu przednich części w pasie przyszyć haftki do zapinania i umocować na szwie pierwszego boczka z prawej strony, pół paska ozdobionego haftem, który zapinać na lewym boku. Przy drugim boczku załamać materyał wzdłuż linii zgięcia, ozdobić haftem i otoczyć wązką koronką tak samo, jak i wycięcie szyi. Rękawy zeszyć podług cyfr, zmarszczyć od dwukropka do dwukropka, przybrać haftem i wszyć w paltot.

Mantylka z materyału jedwabnego „armure."

Rycina Nr 9 i 2 w Bl. Nr 14. (Kr. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10*a*—11.

Mantylka dla osoby starszej z materyału jedwabnego „armure" koloru czarnego, przybrana pasmanteryą i frendzlą. Po przydłużeniu fig. **10***a* i po dopełnieniu złożenia figury **10***b* złożonej razem wzdłuż linii przecięcia od A do B, skrajać podług fig. **10***ab* i **11** po jednej części złożonej wzdłuż środka, tę ostatnią z materyału podwójnie złożonego. Wzdłuż linii podwójnej wykonać nacięcie, umocować † na kropce, a materyał niepotrzebny przy wycięciu szyi odkrajać. Następnie wyłożyć przód wzdłuż pierwszej linii zgięcia, załamać ostro inne linie zgięcia, dolny przedni brzeg wyciąć w zęby i otoczyć frendzlą jedwabną z perłami. Zaopatrzyć kołnierz podkładem, przyszyć i wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, przybrać dolny brzeg oraz tylny brzeg nacięcia frendzlą wykończyć podług ryc i w pasie wszyć wstążkę do wiązania dla uwydatnienia wcięcia.

Nr 8—[illegible]rze. (Opis pierw.).

Nr 12—17. Kapelusze letnie.

Nr 18—23. Kapelusze letnie.

Paltocik z sukna ozdobiony koronką.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 14.

Paltocik z sukna ciemno-zielonego, ozdobiony czarną haftowaną koronką, zaopatrzony podszewką czarną atłasową. Kołnierz w tylnej części ułożony w kontrafałdy. Rękawy dolne z koronki, górne z sukna.

Płaszczyk z odpasowanej chustki.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 14. (Kr. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 54 i 55).

Chustka 180 c. w kwadrat, himmalaya koloru tabaczkowego z szlakiem odpasowanym koloru „crême" i frendzlą. Skrajać najprzód karczek z materyału jedwabnego i podszewki fig. **54** dwie części i zeszyć od 59 do 60. Skrajać następnie dwie części odpowiednie sobie względnie szlaku na 25 cent. szer., dalej resztę materyału przeciąć środkiem w ukos. Zeszyć obydwie części w sposób, ażeby szlak stanowił brzeg dolny. Ułożyć w górze w srodku dwie kontrafałdy 8 c. szer. zwrócone ku tylnemu szwu i umocować takowe wzdłuż dolnego brzegu karczka. Następnie obciąć brzegi części przybrania na 33 cent. szer. zeszyć razem, zmarszczyć obwód szyi na 34 centim. i przyszyć do karczka, w którym przedtem wykonać fałdę na ramieniu. Umocować wełną jeszcze część wewnętrzną podłużną w przednim brzegu karczka i część przybrania ułożyć na 30 cent. od dolnego brzegu w trzy fałdy ku sobie zwrócone na 8 c. szerok. Kołnierzyk wykonać z kawałków odciętych podług fig. **55**, zaopatrzyć podszewką i podkładem, przyszyć od 59 do 62 i pokryć riuszą z wstążki tegoż koloru 6 c. szer. z końcami do wiązania. Takaż kokarda z końcami wykończa część tylną. Haftki służą do zapinania, a w plecach przyszyć wstążkę dla uwydatnienia wcięcia.

Paltocik dla młodej osoby.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 14.

Paltot wcięty do figury z sukna koloru piaskowego, tegoż koloru atłasem podszyty, ozdobiony podług ryc. haftem maszynowym. Wykonać można podług fig. **40—44** tejże tablicy, dodawszy haftowane wyłogi.

Mantylka z „surah" i koronki gipiurowej.

Rycina Nr 14 i 16 w Bl. Nr 14.

Mantylka złożona z dwóch podłużnych części „surah" koloru „vieux roze" układanego w fałdyi z koronki czarnej gipiurowej. Mantylka spięta z przodu na haftki. Kołnierz z „surah" podwójnie złożonego i pokrytego koronką.

Płaszczyk dla dziecka.

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 14.

Płaszczyk z sukna koloru piaskowego, z krótkimi rękawami, tak zwanymi „cloche." Przednie części ułożone w kilka fałd. Pasek ze skóry wykończa całość.

Kapelusz okrągły z nizką główką.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 14.

Kapelusz okrągły, z nizką główką, z rondem szerokiem z przodu a węższem w tylnej części, z bastu koloru czarnego. Przybrany czarnemi strusiemi piórami, egretą tegoż koloru, żółtemi różami i czarną koronką, ota-

Nr 28. Suknia krojem „princesse" (do ryc. Nr 6).

Nr 29. Suknia spacerowa z kaftanikiem (do ryc. Nr 33).

Nr 24. Sukienka dla panienki od 6—8 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 26—27).

Nr 25. Sukienka dla panienki od 3—5 lat. (Krój i op[illegible] str. tabl. Nr IX, fig. 5[illegible]

[illegible]6. Sukienka dla panienki [illegible]—10 lat (do ryc. Nr 7). Kr. [illegible]w. str. tabl. Nr III, fig. 18 do 25.

Nr 27. Sukienka ozdobiona haftem dla dziecka od 1—2 lat. (Krój i deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 57—59).

Nr 30. Suknia z materyału wełnianego i sukna ozdobiona aplikacya (do ryc. Nr 2). Krój i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12.

Nr 31. Suknia z bluzką dla młodych panienek.

czającą brzeg główki na podkładzie ze wstążki, z przodu zaś ułożona wysoko i podtrzymana cienkim drucikiem. Wewnętrzna część ronda pokryta również czarną koronką.

Kapelusz w kształcie kapotki z perełek czarnych nawlekanych przezroczysto na druciki.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 14.

Kapelusz w kształcie kapotki z perełek czarnych, nawlekanych przezroczysto na druciki. Rondo otoczone koronką koloru żółtawego. Róże i kokarda ze wstążki koloru „crème" wykończają całość podług ryciny.

Kapotka z perełek błyszczących mięszanych z czarnym dżetem.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 14.

Kapotka z perełek błyszczących mięszanych z czarnym dżetem. Rondo ze wstążki $1^3/_4$ c. szer. układanej w pukle w sposób wskazany na ryc. w kilka rzędów na przodzie a w dwa rzędy z tyłu. W tylnej części, wysoko wzniesiona kokarda z czarnej koronki i wstążki aksamitne do wiązania.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Mazurek orzechowy w pianie.

Ubić ośm białek na pianę sztywną, dosypać po ubiciu pół funta mączki przesianej z pod maszyny, sypiąc ją na kilka części. Gdy już razem dobrze ubite, wsypać szybko funt orzechów włoskich drobniutko posiekanych, wymięszać i w tej chwili wstawić w piec dobrze ciepły ale nie bardzo gorący, na blasze dość głębokiej, bo ten mazurek powinien być gruby. *L. C.*

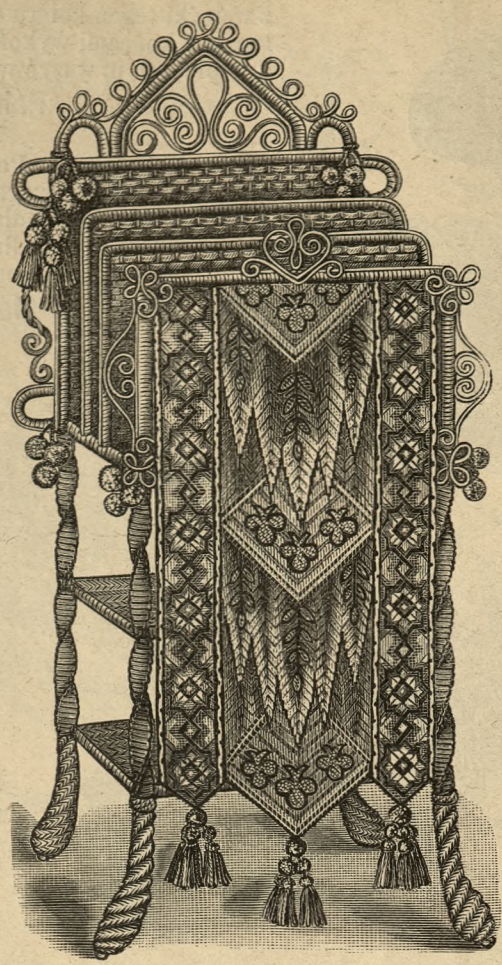

Nr 32. Pułka z teczką na gazety ozdobiona haftem (patrz ryc. Nr 23 w Bl. Nr 16).

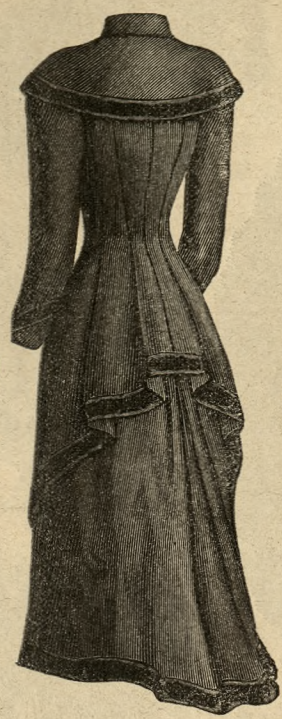

Nr 33. Tylna cześć sukni Nr 29.

Obiad świąteczny.

1. Barszcz i bulion czysty z jajkami.
2. Kiełbasa z rożna lub pekeflejsz z chrzanem.
3. Omlet ze szpinakiem.
4. Cielęcina z sałatą świeżą.
5. Mazurki.

KORESPONDENCYA.

Odp. prenum. z nad Narwi.

1) Szynki wędzonej w zuzlach nie potrzeba moczyć. 2) Sposób robienia krochmalu znajdzie pani w 13 wydaniu „Jedynych praktycznych przepisów." 3) Jajka na zielono można farbować w wyciśniętym soku ze świeżo puszczającego owsa lub jęczmienia. 4) Kufry najlepsze są w fabryce Breymayera, Królewska Nr 1. Możemy pani załatwić kupno, jeżeli pani przyśle wymiar wielkości. 5) Odwar korzenia daje nie szkodliwy kolor czerwony, używany do zabarwiania cukru, znany w aptece pod nazwą alkermesu, radzę pani dla pewności kupić go w aptece.

Odp. pani W. N.

Na liszaje, łuszczenie skóry i pocenie się rąk, tylko lekarz może pani udzielić lekarstwo.

Odp. pani Maryi Gajd...

List pani w interesie sukni fularowej posłałam dla załatwienia do magazynu pana Herzego.

Odp. prenum. z Podola.

O fason guni góralskiej dla chłopczyka zechce się pani udać do magazynu ubiorów dziecinnych pani Pawlik, ulica Trębacka, dom Scheiblerów. Wątpię, aby „la Mode illustrée," której reprodukcyą jest „Bluszcz" polski, podał w przyszłości tę góralską formę.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym N-rze „Bluszczu" podać się mających.

Nr 34. Szlak wykonany szydełkiem do ozdoby kominka, pułek i t. p.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 1 Апрѣля 1892 г.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.